

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 1

Jerozolima, 1 kwietnia 1943.

Rok I

W numerze:

B. Łączkowski: Wojna zaczęła się 1 września. — M. Wańkowicz: Dywersja niemiecka w Polsce. — H. Naglerowa: Chleb. — Trzy Warszawy (korespondencja z Kraju). — B. Ł.: Zagadnienia gospodarcze. — M. Petry: Ramadan. — I. Rzeczycki: Kaganiec Urzędu Oświaty. — Kronika Bl. Wschodu. — Przegląd polityczny.

Od redakcji

W ciągu ostatniego roku przedostało się z Z.S.R.R. na Bliski i Środkowy Wschód sto kilkadziesiąt tysięcy Polaków, wojska i ludności cywilnej. Wschód — Persja, Irak, Palestyna, Egipt, Afryka Wschodnia, Indie — stał się w ten sposób terenem najliczniejszej polskiej emigracji wojennej.

Ludzie ci w ciągu dwóch pierwszych lat wojny, w czasie swojego poniewolnego pobytu w Rosji, byli odcięci od wszystkich kontaktów ze światem, a i dziś przebywają w krajach, w których kontakt ten jest raczej trudny.

A tymczasem świat znalazł się dziś na ostrym zakręcie. Zachodzą w nim przełomowe zmiany, które zaważą nie tylko na bezpośrednim wyniku wojny, ale i na ukształtowaniu się stosunków po wojnie wszędzie, także i w Polsce. Wiemy, że z obecnej zawieruchy wojennej wyłoni się nowa struktura polityczna świata oraz nowy układ sił. Wiemy, że Polska, do której wrócimy, będzie napewno inna od tej, z jakiej wyszliśmy. Inna o wszystkie potworne doświadczenia wojny i okupacji. Inna tak, jak inny będzie świat powojenny od tego, który pożegnaliśmy we wrześniu 1939 r. Inna o tyle, o ile my sami przez te lata wojny zmieniliśmy się i jeszcze zmienimy.

Skoro elementarnym obowiązkiem i najwyższą ambicją naszą jest świadome kształtowanie losów przyszłej Polski, musimy wyczuwać puls zachodzących zmian, mieć oczy szeroko otwarte na to wszystko, co się w świecie dzisiaj dzieje. Musimy się w świecie tym orientować. Ułatwić uchodźstwu polskiemu na Wschodzie te orientacje zarówno we wielkich zagadnieniach współczesnej polityki, jak i w możliwościach oraz perspektywach przyszłej Polski — to główne zadanie, jakie pismo nasze sobie stawia, i najpoważniejsza legitymacja jego istnienia.

Publicystyka angielska i amerykańska pełna jest dzisiaj planów, projektów, dyskusji na temat tego nowego świata, który się po wojnie wyłoni. Przywilejem a zarazem obowiązkiem nas emigrantów, którzy — inaczej niż kraj — mamy możliwość swobodnego kontaktu z wielkimi ośrodkami myśli i decyzji politycznych sprzymierzonych, jest przemyślenie tych wszystkich planów i projektów z naszego, polskiego punktu widzenia, zorientowanie się w naszych możliwościach oraz konsekwencjach, jakie te zmiany nam narzucają.

Rozważaniom na wszystkie te, najżywotniejsze dla nas zagadnienia, chcemy poświęcić jak najwięcej miejsca w naszym piśmie. Pragniemy wszcząć jak najżywszą, swobodną dyskusję. Zamiarem redakcji jest stworzenie z pisma trybuny dyskusyjnej dla oświecenia tych problemów z różnych stanowisk.

Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że dyskusja ta, aby mogła być owocna i płodna i aby nie zeszła na manowce tanich ogólników, musi być oparta o mocny fundament konkretnej znajomości faktów, orientacji w bieżącej rzeczywistości politycznej, kontaktu z tym, co się myśli i pisze na tematy powojennej przebudowy świata w Londynie, Nowym Yorku, Waszyngtonie. Dlatego też pismo nasze uważa za jedno ze swoich głównych zadań wprowadzenie jak najobfitszego działu informacyjnego w postaci artykułów, przeglądów prasy obcej, recenzji z książek.

Będziemy także informowali czytelnika możliwie najpełniej o tym, co się w Kraju dzieje, i to przede wszystkim o tym, co ten Kraj myśli, czuje, jak sobie wyobraża przyszłość Polski — drogą przedruków z najwolniejszej i najczciodszej prasy, jaka kiedykolwiek w Polsce istniała, — z prasy podziemnej.

Losy wojny rozrzuciły nas po obcych i egzotycznych terenach azjatyckich i afrykańskich. Musimy się starać z nieszczęścia emigracji wyciągnąć jak najwięcej doświadczenia i wiedzy. Poznanie Indyi, Iranu, Iraku, Syrii, Palestyny, Egiptu, Afryki Wschodniej powinno nas wprowadzić nie tylko w świat kultur niezwykle oryginalnych, ciekawych i o dostojnych zazwyczaj tradycjach historycznych, ale także przygotować grunt dla naszej ekspansji gospodarczej po wojnie, sprawić, że emigracja nasza na Wschodzie nie pójdzie dla Polski na marne. Dlatego zarówno z przeszłości, jak i teraźniejszości wszystkich

tych krajów, na których przyszło nam obecnie żyć, będziemy się starali systematycznie zaznajamiać naszych czytelników.

Chcemy otworzyć tamy naszego pisma dla tych wszystkich znajdujących się na Wschodzie polskich piór, które bądź to znane były jeszcze przed wojną, bądź też które uformowane zostały przez przeżycia wojenne.

Program mamy obfity. Prosimy czytelnika, aby wziął pod uwagę, że w wykonaniu jego musimy się liczyć z wielkimi trudnościami czasu wojennego, z ograniczeniami przydziału papieru, z nieregularnością korespondencji i z trudnościami transportu, szczególnie uciążliwymi dla pisma, które ma objąć tak olbrzymie tereny. Zato nie prosimy o żadne względy, jeśli będzie szło o krytykę merytoryczną. Nieraz będziemy mówili naszym czytelnikom rzeczy gorzkie i przykre i prosimy sami o jak najsurowszą krytykę wszystkich naszych poczynąch z poniechaniem wszelkiej chińskiego komplementów, na które nasze są zaiste zbyt poważne i zbyt tragiczne.

ZDZISŁAW BRONCEL

Pożegnanie

Ziemia dymi jak wulkan, ciemność błyska ogniami,
Ludzka lawa wypływa z miast rozbitych kraterów —
Pośród ognia i żużli jadą święci ulani,
Tańczą konie w lansadach, grają trabki lansjerów.

Śmiercionośne kombajny kraja pola w zygzakach,
Biją bomby płonące fontannami magnezyj —
Idą w czwórkach na wojne kornie strzelcy z Kossaka,
Kawaleria z detali, szwoleżerzy z poezji.

Chrześci kośba żelazna, młocą miotem armaty,
Młazda ludzi motory, grzebią ludzi maszyną —
Wzniesli lance ulani, jak kwieciste rabaty,
Przewiązane wstążkami — jak warkocze dziewczyny.

Suną z fabryk uchwyty, w zgrzytach pełną obęgi,
Biorą rzeki za gardło, dławią drogi w uścisku —
Wiatr rozwinał proporce kolorami przysięgi,
Poszły konie galopem, w ziemi ornej, po rżysku.

Tłuką szarżą kopyta w tanków płyty stalowe,
Płoną chrapy piekielne w wirujących potworach,
Rżenie koni i wycie, hałdy trupów nad rowem,
Wniebowzięcia w benzynie, czarne luny na borach.

Palby suchej, pancernej, dygocący mechanizm,
Żywych głazów lawina, pochód żywych kamieni —
A ci pedza bez kresu, a ci leca bez granic,
Jak zerwany różaniec, jak sokół z pierścieni.

Jezus Maria! — i klują, Jezus Maria! — i gina,
Oszalałe zwierzęta, ludzie wzięci w szaleństwo,
Więzną lance w szczelinach, góry stają i dymią,
Ale stal jest mocniejsza ponad rozpacz i męstwo.

Przeszły tonny potęgą nad zagonem zżyznionym,
Wgniotły w zagon bezbronny kwiaty, ludzi i konie,
Aż chłop otarł siernięcią plug skrawiony i brzoję,
Kiedy w orce jesiennej przyniósł życie na błonie.

Nie rwij pięści ku niebu, nie lżyj włosów zsiwiałych,
Nie maczaj cizy pogrzebu, i w goryczy — lecz klękni:
Oto szarża z Rokity, oto szarża z dni chwały,
Powtórzona w dniach klęski — dniem Warszawy przeciętej.

Nie przeklinaj poezji i nie bluźnij historii —
Kircholm, Chocim i Wiedeń były wojny pacierzem,
Samosierra im oczy oślepiła wśród glori,
Że się rwali jak jeden bóg szablami w pancerze.

W grotgerowskich kuźnicach wykowano z lemiszy
Romantyczny ten oręż: spisy, szable święcone,
Gdzie nie numer fabryczny, ale rytym nas cieszył
Krzyż i dziewięć linion i „Pod Twoją obronę...”

Trzykroć liście kłowne jak złociste ordery
Układają się wieńcem na zmartwiałych ulicach,
W mgłę wilgotnej i sennej płyną duchy szpalierem,
Cień przystanął i westchnął: „Tu się bila konnica...”

Dzwonią wierszem ostrogi nad mogiłą Wieniawy,
Malarz zamknął kostiumy w portretowej kasecie,
Klaszcza mazur ostatni szwoleżerskiej zabawy,
Biała paapa dłoń niosła ulanowi-poezie.

O junaku z szlambuchów, z amarantów i pieśni,
Nowe skrzydła ci rosną, rośnie śmigieł muzyka —
Och, nie żałuj poezji! — Ciebie tylko wciąż pieści,
Odchodzący ulanie, zakochana liryka.

Ciebie trzyma w objęciach i oplata twą głowę
Melodyjnym ramieniem i mości twe brzemię
Rozesłanym królowką obwołanym swym słowem;
Siódma twoja Araba i podaje ci strzemie.

Zawsze będzie ci wrona, niesmiertelnie namiętna,
Przyjmująca cię całą heroicznym opisem,
O kochanku bez skazy, gwiazdo wojny i piękna,
Chociaż tankiem zaciągniesz, gdzie goniliś Farysem.

I gdy wreszcie o świecie, zrumieniony zachwytem,
Będiesz w wieży pancernej wśród wieńców polskich przejeżdżał,
Pod twych czołgów gaszenie trąjące kopyta
Zdrzutniana ze szczęścia — padnie twoja poezja.

I.

Dwie siły psychiczne splatają się w kształtowanie życia jednostek i narodów: wola bytu i wola twórczości.

Wola bytu jest prądem, który przenika cały świat organiczny. Jest ona właściwa każdemu stworowi żyjącemu: zarówno człowiekowi, jak i marnej liście szukającej pod liściem schronienia. Każdy na swój sposób usuwa własny byt obronić, swoje istnienie przedłużyć. Wola bytu przenika również organizmy społeczne; właśnie ona stanowi o tym, że nagromadzona masa etniczna przeistacza się w naród.

Wola tworzenia jest cechą wyróżniającą człowieka od innych stworów na ziemi. Wola tworzenia — to pęd do przekształcania otaczającego nas świata zewnętrznego, do wyciskania na nim piętna swojej indywidualności. Ten pęd do wyjścia poza szablony, do zbudowania czegoś nowego, czego jeszcze nie było, jest ilustracją prawdy bib-

lijnej, że dusza ludzka na obraz i podobieństwo Boże ukształtowana została. Wola tworzenia staje się nie raz źródłem wielkich przemian w życiu zbiorowym: pcha naprzód łódzie wikingów, towarzyszy orłom napoleońskim, tworzy wielkie imperia kolonialne. Wola tworzenia w życiu narodu budzi pęd do wyjścia poza siebie, do wyciskania piętna swojej indywidualności narodowej na kształtowaniu się dziejów. Narody nią przeniknięte znaczą szlak swojej drogi dziejowej trudnymi do zatarcia śladami. Mówimy o nich wówczas, że są to narody historyczne.

Wola bytu oraz wola tworzenia — to podstawowe psychiczne siły żywiołowe, które, w różnych kombinacjach splatając się, określają w znacznym stopniu charakter oraz drogę życiową jednostki. Pęd do zabezpieczenia bytu oraz zdobycia wpływu na kształtowanie się historii są to dwa podstawowe, można powiedzieć instynktowne, dążenia życia zbiorowego, które tkwią u podłoża wszystkich wielkich problemów polityki narodowej. Sytuacja geopolityczna naszego narodu, ściśniętego pomiędzy dwiema potęgami, jest tego rodzaju, że będzie on mógł utrzymać swój byt oraz rozwinąć swoje wartości twórcze tylko wówczas, jeżeli oprze się o silną organizację państwową. Stąd z tych dwóch podstawowych elementów psychicznych życia zbiorowego narodu, którymi są wola bytu i wola tworzenia, wynikać musi pierwsze naczelną założenie naszej polityki: zasada budowania potęgi.

Jest niewątpliwie objawem zdrowego instynktu narodowego, że myśl polska na uchodźstwie uporczywie krąży około tej zasadniczej kwestii naszego istnienia narodowego, którą stanowi problem siły. Albo zbudujemy w sercu Europy nową potężną organizację państwową, albo stacząc się zaczniemy w otchłań i pustkę niebytu narodowego.

II.

Pytaniem pierwszym, które tu staje przed nami, jest zagadnienie definicji samego pojęcia „siła państwa”. O sile państwa decyduje nie tylko absolutny poziom wskaźników jego potencjału militarnego, lecz również stosunek jego siły do siły państw innych, a przede wszystkim do siły sąsiadów. Rzeczpospolita Polsko — Litewsko — Rуска była państwem wielkim i potężnym, gdy z jednej strony mieliśmy bukiet niescalonych państw niemieckich, a z drugiej strony były Kozacyzna, Ruś Moskiewska, Hordy Tatarskie, Republiki Pskowska i Nowogrodzka. Byliśmy wówczas mocarstwem nie tylko przez absolutny poziom naszej siły, lecz również przez względną słabość naszych sąsiadów. Gdy zaś z jednej strony zaczęła narastać potęga nowożytnych Prus, a z drugiej potęga imperialna carów — przyszedł jako nieuchronna konieczność upadek Rzeczypospolitej. Zarówno katastrofa rozbioru, jak i katastrofa 1939 r., źródło swe mają w tej samej przynajmniej prawdziwej geopolitycznej.

Dlatego też najistotniejszym, najbardziej dręczącym pytaniem, które staje przed nami na obecnym załomie dziejowym, pytaniem ważniejszym niż wszystko inne, ważniejszym nawet niż sprawa rzeźby naszych granic, — jest kwestja tego, jak po tej wojnie wyglądać będzie na kontynencie europejskim stosunek siły naszej do siły państw innych. Dlatego też kwestja tego, jakie będą losy sąsiadów, ma dla nas nie mniej istotne znaczenie niż kwestja naszych własnych losów. Wszelka polityka, która by polskim ideałem ustroju Europy. Tylko w koncepcjach bloków, przez te narody tworzonych, może znaleźć swoją realizację nasz ideał mocarstwowy.

(Dokończenie na str. 2-cj)



445 61762

Rz 4468/1943

III.

Pierwszą więc przeszkodą na drodze naszego dążenia do realizacji silnego państwa jest potęga innych. Przeszkodą drugą jest własna słabość liczebna oraz niedostateczny poziom wskaźników siły gospodarczej. Dwa- dziesiątka kilka milionów Polaków, zamieszka- łych zresztą w ogromnym stopniu na tery- toriach narodowo-mieszanych, stanowią co- prawda siłę dużej wagi, lecz są niedostateczne dla tego, aby w sercu Europy zbudować nową, potęgę mocarstwową. Możemy być najwa- żniejszym współczynnikiem tej potęgi, lecz nie możemy jej ukształtować sami. Stąd polska myśl mocarstwowa z natury rzeczy musi stać się myślą federacyjną.

Warunki, które pchnęły na szlaki fede- racyjnej polską myśl polityczną epoki Jagiel- lońskiej, są równie, a może nawet bardziej aktualne, dziś niż przed 500 laty. Są to elementy stałe naszej pozycji w świecie. Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że inicja- tywa federalistyczna tego okresu zwracała się, nie tylko w kierunku wschodnim, lecz również zachodnim. Świadczy o tym uparte usiłowania pierwszych Jagiellonów dołączenia do swego imperium również Węgier i Czech.

Ten federalistyczny charakter każdego realnego programu mocarstwowego z nie- uniknioną koniecznością prowadzić musi do konfliktu ideologii mocarstwowej z nacjona- listycznym ideałem przenikniętego wyłąc- nością i zamkniętym w sobie państwa naro- dowego. Tymczasem właśnie większa część społeczeństwa polskiego do tego ideału jest szczególnie przywiązana. Musimy więc sobie uświadomić, że przeszkody, które stoją na drodze do budowania potęgi Polski, są nie- tylko zewnętrznej, lecz również wewnętrznej natury. Tkwią one przede wszystkim w posta- wie psychicznej tych, którzy właśnie za naj- gorętszych patriotów siebie uważają. Dlatego też realizacja programu mocarstwowego wy- maga dokonania rzeczy ogromnych, bo prze- stawienia postawy psychicznej znacznej części społeczeństwa polskiego, przełamania pewnych ustalonych już szablonów myślenia. Nie można bowiem zwracać się do naszych ewentualnych kontrahentów z taką mniej więcej propozycją: „Ja chcę ciebie zasymilować i wchłonąć, wobec tego połączmy się dobrowolnie więzami fe- deracyjnymi”. Narody, które się będą z nami łączyły, muszą widzieć w tym przede wszystkim własny interes. Związek z Polską musi im zabezpieczyć obronę ich indywidualności na- rodowej, musi dać bardziej pomyślne warunki dla rozwoju ich odrębnej kultury narodowej. Rozpowszechnianie w społeczeństwie polskim wszelkich haseł planowego i świadomego a- symilowania narodowości, z którymi nas losy złączyły, jest czynnikiem ogromnie utrudnia- jącym realizację programu mocarstwowego.

Nie znaczy to wcale, abyśmy wobec aktów nam wrogich w łonie tych narodów mieli przejawiać jakąś słabość, czy też bezradność. Polityka mocarstwowa nie może być polityką niesprzeciwiania się złu. Wyobrażam sobie, że może być rzeczą konieczną zastosowanie w pewnym momencie nawet aktów przemocy. Lecz najistotniejszym nie jest tutaj sama kwestja zastosowania czy niezastosowania siły, lecz postawa psychiczna, którą przy tym zaj- miemy, cel, w imię którego tej przemocy be- dziemy używali. Bismarck w 1866 r. pobił Austrię, żeby uczynić z niej potom sprzymie- rzeńca nowej Rzeszy Niemieckiej. Po zwy- cieżkiej wojnie będziemy musieli pociągnąć do odpowiedzialności te wszystkie elementy litewskie oraz ukraińskie, które dziś biorą udział w znęcaniu się okupantów nad lud- nością Państwa Polskiego. Lecz nie leży w na- szych interesach, aby akty te były skierowane przeciwko narodowi litewskiemu czy też ukra- ińskiemu, lub przyjęły charakter jakichś zbio- rowych represji. Odwrotnie, musimy dążyć do tego, aby obudzić przekonanie, że właśnie w związku z Polską oba te narody będą miały zabezpieczone najlepsze warunki dla rozwoju swojej kultury oraz utrzymania swojej samoistności narodowej.

Hasła „za naszą wolność i waszą” lub „wolni z wolnymi, równi z równymi”, były hasłami okresu powstań i romantyzmu poli- tycznego. Hasłami poetów, marzycieli i wę- drownych kondotierów „wiosny ludów”, lecz jednocześnie za barwną tęczą frazeologii krył się w nich głęboki realizm polityczny. Szkoła Balińskiego i Dmowskiego zasugerowała myśl polityczną współczesnej Polski przeko- naniem, że tylko w celach bliskich, w meto- dach pracy organicznej, w asymilowaniu chłopów ukraińskich i białoruskich, w polsko- ści sztyldów na sklepikach, w sprawach własnej zagrody tkwi realizm życia narodowego. Jest to niekoniernie słuszne. Mistycy i marzyciele nie zawsze okazują się ludźmi niepraktycz- nymi życiowo. Rzeczywistość sytuacji polskiej w świecie jest właśnie tego rodzaju, że aby uniknąć periodycznego powtarzania się wy- padków z września 1939 r., potrzebne są nowe, wielkie i śmiałe rozwiązania. Tylko wspólnymi siłami, przez Polaków, We- grów, Czechów, Rumunów, Litwinów, Słowaków itd. zbudowana nowa potęga mocarstwowa może tym wszystkim narodom dać warunki zabezpieczające ich byt oraz możliwość twórczego rozwoju.

IV.

Ujemną stroną naszej obecnej sytuacji jest również fakt, że Polska współczesna nie ma haseł, któreby ją wobec świata legitymo- wały. Naród, który prowadzi walkę tylko w obronę swego istnienia, może już przez to samo wzbudzać do siebie sympatię na całym świecie. Lecz naród, który chce odgry- wać czynną rolę historyczną, który piętno własnej indywidualności chce na biegu wy- padków wyciskać, który ma własne koncepcje międzynarodowe do realizowania, musi po- siadać idee, któreby go wobec świata repre- zentowały. Idea ta musi wychodzić poza krąg jego bezpośrednich interesów, posiadać szersze, ogólnoludzkie znaczenie, stanowić w pewnym stopniu legitymację jego roli cywilizacyjnej. Werbujać zwolenników tej idei, akcja propa- gandowa tego narodu tworzy jednocześnie kadry opinii, która mu realizację jego celów międzynarodowych będzie ułatwiała.

Rosja reprezentuje wobec całej ludzkości idee rewolucji społecznej oraz dążenie do rozpowszechniania na całej kuli ziemskiej ma- terialistycznego poglądu na świat. Rzeczy,

BODHAN ŁĄCZKOWSKI

Wojna zaczęła się 1 września

„Nie zamilczę, bo głos trąby słyszysz, duszo moja, i okrzyk wojenny. Porażka za porażką ogłasza się, spustoszona będzie zaiste wszytka ziemia; nagle spustoszone będą namioty moje...”

Na tych słowach prorocstwa Jeremiaszo- wego odwracam kartkę Pisma Świętego i w oczach staję mi bładobłektne niebo wrze- sniowe nad Warszawą. Z okna mieszkania widzę, jak kilka niewielkich punktów, ciem- niejszych od tła widnokręgu, krąży nad Okę- ciem. Punkty są niewielkie, wyglądają nie- groźnie. Zdaleka wydaje się, że latają bardzo powoli, jak uprzykrzone owady. Ale ja wiem, że to są samoloty niemieckie, że bombardują lotnisko, że rozpoczęła się wojna...

Zamykam oczy, by nie widzieć irytująco pięknej panoramy Libanu i tego nieba, tak inaczej błękitnego, tak spokojnego w swym głębokim kolorycie.

„Nagle spustoszone będą namioty moje...” Z jaką zawrotną szybkością zaczyna mi wszystko pędzić w myślach. Po raz setny, po raz tysięczny. Widzę ściany mieszkania, któ- rego już nie ma, czerwone cegły kominka. Nad głową zaczyna mi się kołysać świecznik od Braci Łopieńskich. Tak, napewno od Braci Łopieńskich, — pamiętam, że nie mogłem się zdecydować, który wybrać. Jestem w ich skle- pie. Nie. Przecież tego domu też już nie ma. Przebiegam Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, opieram się o szary mur Banku Gospo- darstwa Krajowego i próbuję sobie wyobrazić, jak to jest tam teraz, jeśli widać pomnik Ko- pernika.

Alarm! Samoloty niemieckie bombardują most Poniatowskiego. Z dachu Banku Gospo- darstwa Krajowego terkocze karabin maszy- nowy. Zapędzają do bramy domu Ministerstwa Komunikacji. Jest tam już cały tłum. Bomby spadają coraz bliżej. Szczekanie CKM-u wydaje się coraz bezsilniejsze. Wodzę oczyma po twa- rzach. Spokojne i skupione. Żadnych krzy- ków czy jęków. Ach, Warszawa!...

Otwieram znów oczy. W ten jasny dzień widzę ciemne, zapchane pojazdami drogi. Po obu stronach długie sznury pieszych. Idą, idą... A teraz ceglaste plany domów przy szo- sie pod Siedlcami. Nalot, samoloty pikują nisko. Ogłuszający trzask. Bomby jedna za drugą spadają obok, ryjąc leje w ściernisku. Sypie się na mnie żwir i ziemia. Coś uderza mnie silniej w nogę.

Potem Siedlce. Bezustanne naloty. Latają, bezkarnie, niemal nad dachami. Gdy nadla- tują, na chwilę zapiera oddech. Gdy są już nad głowami, oddychamy z ulgą: jeśli teraz zrzucą bomby, to spadną dalej. Bezsilna wściekłość, że jest się bezbronnym. Miasto opustoszałe płonie. Obok dom przecięty naw- pół bombą. Widać na pierwszym piętrze pia- nino, fotografie rodzinne na ścianach, w środ- ku stół, który pali się jasnym płomieniem. Pełno trupów.

Na ulicach nie ma nikogo. Naprzeciwko idzie jakiś wysoki ksiądz. Musi to być biskup lub prałat, bo ma czerwone guziki sutanny. Na mój widok chowa pod sutannę złoty krzyż.

Tak, krzyż. Na dachu kościoła tutaj wi- dzę teraz także krzyż. Widma pierzchają, tylko znów jak leniwe muchy krążą mi w oczach te pierwsze samoloty wojny, które bombardowa- ły Okęcie.

To było przecież 1 września... Wiem, że samoloty te oznaczają w życiu moim jakąś przerwę, jakąś grubą czarną linię, która od- dziela wszystko, co było przedtem, od tego, co nastąpiło potem. Nie tylko w moim życiu. W życiu milionów ludzi. W życiu świata ca- łego. Komuż z nas przypominać trzeba, że wojna zaczęła się 1 września 1939 roku! Kto z Polaków nie ma wrażeń daty tej zawsze w serce i w umysł. Zresztą można byłoby przy-

które komunizm sowiecki głosi, mogą obrażać najświętsze uczucia wielu ludzi, lecz jedno- cześnie zyskują mu zwolenników. Każdy ko- munista na świecie staje się w stopniu mniejszym lub większym agentem akcji mo- carstwowej imperium sowieckiego. Żadne państwo na naszym globie nie potrafiło dla siebie zmontować takiego wspaniałego apa- ratu wywiadowców i propagatorów, jak to osiągnęła Rosja współczesna.

Hasła rasistowskie oraz hasła walki z ka- pitałem bankowym, głoszone przez Niemcy hitlerowskie, mają charakter o wiele mniej powszechny, niż te, które głosi Rosja sowiecka. Niektóre z haseł narodowo-socjalistycznych niewątpliwie ranią nasze na chrześcijańskim rozumieniu stosunku do człowieka oparte pojęcia, lecz nie da się zaprzeczyć, że mogą one również sugerować wielu ludzi, szczególnie w krajach germańskich. Należy przypuszczać, że wśród różnych t.zw. quislin- gowców norweskich, holenderskich i fla- mandzkich są nie sami tylko ordynarni zdrajcy, lecz również tacy, którzy poszli ze szczerzego przekonania, gdyż ulegli sugestii

puszczać, że ponieważ wojna płomieniem swym objęła świat cały, więc data ta po- stanie także w wyobraźni innych narodów.

Kilka miesięcy temu obchodzona była trzecia rocznica wybuchu wojny. W dniu 1 września w różnych punktach świata sta- raniem polskich czynników oficjalnych od- prawiono nabożeństwa na intencję Polski. Przedstawiciele narodów sprzymierzonych okazali w rozmaity sposób sympatię swe dla Polski, ofiary napasli niemieckiej. Dzień 1 września obchodzony był jako dzień, który dotyczył Polski i — tylko Polski.

W dwa dni później, 3 września, na całym wielkim obszarze Imperium Brytyjskiego, w koloniach pozostających we władaniu Fran- cji Walczącej, wreszcie na świecie całym ob- chodzono rocznicę... rozpoczęcia wojny.

Sprawa nie jest błahą. W tej drobnej róż- nicy dat zaginać może jedna z najważniejszych pozycji naszego wkładu do wojny: decyzja podjęcia jej.

Dnia 1 września 1939 roku setki samo- lotów i czołgów niemieckich spadły na ziemię polskie. Wyrwano z pracy spokojnej naród, „nagle spustoszone namioty jego”.

Dnia 3 września w odstępach kilkugo- dzinnych do Urzędu Zagranicznego Rzeszy udawali się opustoszałymi ulicami Berlina ambasadorowie Wielkiej Brytanii i Francji. Wręczane przez nich akty wypowiedzenia wojny Niemcom miały wagę epokową. Decy- dowały o podjęciu walki o wolność i spra- wiedliwość świata. Ale na polach bitew nie wiele się zmieniło w tym dniu 3 września. Tuż przy Linii Maginota rozpoczęła się dzia- łalność patroli. Samoloty brytyjskie jęły roz- rzucać odezwy do narodu niemieckiego.

Równocześnie walec maszyn wojennej Niemiec trawiał Polskę. „Porażka za porażką ogłasza się, spustoszona będzie zaiste wszytka ziemia”. I to tak od pierwszego, nie od trze- ciego września!

Date 3 września jako dzień rozpoczęcia wojny podają również chętnie Niemcy, gdyż w dniu tym *im* wypowiedziano wojnę. Wolą nie przypominać, że 1 września *oni* zaatakowali, I dlatego w interesie nie tylko naszym, lecz wszystkich innych narodów, które po- winny zachować pamięć okropności tej woj- ny, dzień 1 września obchodzony winien być powszechnie jako dzień jej rozpoczęcia. Dob- rze by było, gdyby dzień ten został upamięt- niony w przyszłym Traktacie Pokojowym i na tych wszystkich pomnikach, które wspominać będą wysiłki tej wojny.

Jak dalece zacierają się czy może czasem są zacierane wspomnienia niedawnej przesz- łości, świadczą dążenia, by za początek wojny uznać jesień 1938 roku. Okres przetargów monachijskich. Monachium było kapitulacją, było zawieszeniem broni — nie było tam de- cyzji walki.

Herodot powiada o starożytnych Persach, iż przegrali oni w wojnach z Grekami, bo nie mieli „nie” w swoim języku. Myśmy to „nie” znaleźli.

„Narody mają dobrą pamięć”, — twier- dził kiedyś Gladstone. Brytyjski mąż stanu szukał może w tym stwierdzeniu uzasadnienia dla wprowadzenia samorządu w Irlandii, przez tyle lat walczącej o swe prawa. A może poprostu się mylił. W naszych czasach narody wydają się mieć raczej dość krótką, a co naj- mniej — bardzo nierówną pamięć. Tylko narody nieszczęśliwie mają dobrą pamięć.

Wracam do Pisma Świętego — tej historii tyłu mądrości i tyłu nieszczęść. Mówią dalej słowa prorocstwa Jeremiaszowego: „Przywio- dę ich do zdrowia, i ulecze a uzdrowię ich, i objawię im obfitość pokoju, a pokoju pew- nego”.

Oby teraz też tak było. Oby, oby.

propagandy niemieckiej. Propaganda nie- miecka sugerowała również w okresie przedwojennym niektóre koła młodej inteli- gencji francuskiej, co potem w sposób po- ważny musiało zaciążyć na całej polityce francuskiej po klęsce 1940 r.

Jest czynnikiem ogromnej wagi, jeżeli jakiś naród potrafi narzucić społeczeństwu innych krajów pożądane dla niego kategorie myślenia. Otóż społeczeństwo polskie w ciągu dwudziestolecia istnienia odrodzonego państwa wykazało pod tym względem raczej słabą in- dywidualność. Nastroje nacjonalistyczne na- rastały w tym okresie zarówno w społe- czeństwie niemieckim, jak i polskim. Nacjo- nalizm szedł po linii interesów niemieckiej polityki mocarstwowej. Niemcy były krajem względnie zwartym narodowościowo, przy tym znaczne terytoria, posiadające większość etnograficzną niemiecką, pozostawały poza granicami Rzeszy. Nacjonalizm zwiększał prawdopodobieństwo połączenia się z Austrią, zagarnięcia Czechom Sudetów, odebrania Włochom południowego Tyrolu. Jednocze- śnie nacjonalizm w ujęciu rasistowskim ot- wierał widoki wprzęgnięcia do rydwanu poli- tyki niemieckiej krajów Skandynawskich, Holandii, flamandzkiej Belgii.

Inna natomiast była sytuacja Polski. Byliśmy krajem, który posiadał około 30% mniejszości narodowych. Rozwój nacjona- lizmu polskiego pубdzał rozwój nacjona- lizmów ukraińskiego, białoruskiego, litewskie- go; wytwarzał siły, które rozsadzały od wewnątrz spójność Państwa Polskiego. Po- mimo to nacjonalizm czynił u nas ogromne postępy, prawie równoległe do postępów pra- dów nacjonalistycznych w Niemczech. Opa- nowywał administrację, wojsko, szkolnictwo. W ostatnich latach przed wojną zjawily się już nawet w różnych stowarzyszeniach próby wprowadzenia paragrafu aryjskiego. Myślenie niemieckie, obce naszej sytuacji i naszym in- teresom, sugerowało nasze życie poli- tyczne. Nasza indywidualność narodowa oka- zała się w tym okresie zbyt słaba, aby wy- tworzyć własne odrębne pojęcie, własny odrębny zespół idei, bardziej odpowiadający naszej pozycji w świecie oraz naszym aspi- racjom mocarstwowym.

Dziś, gdy stoimy w przededniu wielkiej rozgrywki o naszą pozycję wśród narodów, konieczność naszych własnych odrębnych sformułowań ideologicznych staje się tym bardziej aktualna. Przy tych rozważaniach myśl mimowoli zwraca się wstecz, do innej wielkiej emigracji: emigracji po klęsce 1831 r. Wyrasta przed oczyma wyobraźni wspaniała postać sędziwego księcia Adama, który, nie mając z punktu widzenia prawa międzynarodowego żadnego oficjalnego stano- wiska, taką niesrudzoną działalność rozwijał, aby osłabić wpływy i znaczenie w świecie mocarstwa, zagrażającego wówczas najbardziej naszemu bytowi. Myśl się zwraca do tych szeregów żołnierzy, którzy sprawiali, że imię Polski było wówczas jak sztandar bojowy, który łopotał wszędzie, gdzie rozpałały się walki pod hasłem wolności.

W gruncie rzeczy sytuacja dzisiejsza jest bardziej podobna niż to na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać. Wówczas sztan- darem naszego działania, naszym ideałem legitymującym wobec świata było hasło wol- ności ludów. Dziś większość narodów Europy jest zagrożona w swoim bycie i swojej nie- zawisłości przez wielkie potęgi totalistyczne. Niektóre z tych narodów, jak Węgry, Rumu- ni, Słowacy, narody bałtyckie, zostały już obecnie wprzęgnięte do rydwanu niemieckie- go. Stało się tak nie dlatego, żeby to odpo- wiadało ich aspiracjom, lecz dlatego, że nie miały one innego wyjścia. Z chwilą gdy runie potęga niemiecka, niebezpieczeństwa dla bytu tych narodów jeszcze się nie skończą. Może nawet przyjąć moment, że groza sytuacji jeszcze się powiększy. Polska musi się stać najsilniejszym państwem Europy Środkowej oraz naturalnym organizatorem akcji obron- nej tych narodów. Daje to w dużym stopniu legitymację naszym aspiracjom mocarstwowym, określa tę misję, którą Polska obecnie ma w świecie do spełnienia. Stare romantyczne hasło pokolenia naszych dziadów, głoszące wolność wszystkim narodom, musi dziś na- brać nowych rumieńców. Musimy sobie dobrze uświadomić ten realny sens polityczny, który się kryje za jego pozornie marzycielską treścią.

Myśl o tej wielkiej roli Polski musi wyjść poza zakres nieokreślonego i nieobowiązu- jącego frazesu. Myśl ta nie może być sprawą tylko jakiegos mniej lub więcej realnego pro- gramu, skrytego w tajni gabinetów dypl- matycznych, lecz musi stać się hasłem, które winno oślepiać reflektorem sloganów, jarzyć się wiarą oraz inicjatywą, wyszukiwać naj- wspanialsze tradycje cywilizacji europejskiej. Hasło to musi znajdować swój wyraz nie tylko w naszej propagandzie zewnętrznej, lecz również w całym układzie naszego życia u- chodźczego: w postawie naszych woisk, w roz- mowach naszych dzieci, w artykułach pism, w kazaniach księży, w utworach poetów. Praca nad budowaniem potęgi mocarstwowej wy- maga jednocześnie pracy nad przedstawieniem naszego własnego myślenia.

MELCHIOR WANKOWICZ

DYWERSJA NIEMIECKA W POLSCE

„Lotrości, które uprawiają poza granicami państwa, nie poczynają za hanbę, przeciwnie, chwala się, że czynią to dla ćwiczenia i zahartowania młodzieży”.

(Cajus Juliusz Cezar o Germanach)

W dziejach dywersji niemieckiej na ziemiach polskich widać, tak jak i na każdym odcinku, że Hitler bynajmniej nie wynalazł nowych, obcych duchowi niemieckiemu elementów, że on tylko te cechy niemieckie potrafił zogniskować.

Dywersja niemiecka na ziemiach polskich, tak dawna jak sąsiedztwo tych dwóch narodów, nie ustawała właściwie po wielkiej wojnie ani na jedną chwilę. Zmieniała się forma, zmikały zagony Orgeschu, dywersje różnych powojennych puczów, ale fala skrytej dywersji nie przestawała podmywać państwa polskiego, gruntującego się coraz silniej.

Państwo to jeszcze przed nastaniem ery Hitlerowskiej dokonywało pierwszej likwidacji dywersji niemieckiej; zostaje rozwiązana „Deutsche Arbeitspartei” której sztab, wypracowujący metody insurekcji niemieckiej, mieścił się w Tarnowskich Górach.

Dobrodusznym Polacy wymierzają wówczas bardzo niskie kary.

Wówczas zawiązuje się nielegalna „Volksbund-Jugend”. Działają przede wszystkim na Śląsku i udaje jej się objąć cały aktywniejszy element niemiecki. Dzieli się kolejno na Kreisleitungen, Ortsgrupy i Kamaradschafty. Co niedziela „Kamaradschafty” odbywają dalekie marsze w miejscach odludnych, w których przerabiane są ćwiczenia związane z dywersją.

A działając w kraju, w którym przez sześćsetletnią niewolę element polski tak poprzerał, wzajemnie, że trudno to nieraz było rozróżnić. Przywódcą głównym „Volksbund-Jugend” zostaje... Hans Glodny, urodzony z matki Niemki, syn działacza polskiego z Nadrenii. Jego pierwszym zastępcą jest Piątek z Katowic, drugim — Stachula z Nikiszowca.

I tych likwidujemy w 1932-33, w roku objęcia władzy przez Hitlera.

Od tej chwili to, co zawsze było istotą pracy niemieckiej wobec sąsiadów, otrzymuje wyraźne sformułowanie.

Jak pisał Rauschning, Hitler w 1934 r. zwołał przywódców Niemczyzny z całego świata i w ich zaufanym gronie powiedział:

„Musicie stworzyć grupę szturmową. Nie powinniście walczyć ani o swobodę parlamentarną, ani inne, bo to tylko opóźnia nasz atak. Żądam ślepego posłuchu. Musicie być placówkami przednimi — podstępni i maskowani. Prawo wojenne już teraz ma wami rządzić. Macie wszędzie dzielić się na dwa stronnictwa — jedno z nich będzie podkreślać lojalność, rozszerzać wpływy towarzyskie i gospodarcze. Drugie, powstańcze — będzie często przed mój rząd dezawuować”.

Na czele tej roboty Hitler powołał Hessa, którego Rauschning uważa „za jednego z najgorszych bandytów kłiki”.

Akcja niemiecka się zaostrza. W Polsce bezrobocie trwa już dawno, Śląsk mu się opierał najdłużej, aż wreszcie uległ i wpadł w skurcze niedzy okrutniejsze, niż w reszcie kraju.

Cieżyło i ciasno było w rodzinie śląskiej. Czy pamiętacie ten kraj? Osada tam styka się z osadą, wieś z wsią, kopalnia z kopalnią. Tu jedne domy się kończą, a tam już zaczynają inne. Ulica śląska zawsze żyje ożywionym życiem, a zwłaszcza wieczorem — cały Śląsk, to jeden klub pod otwartym niebem.

Te ulice śląskie przede wszystkim wyszukuje Niemiec dla swej propagandy.

OKRES PRZYJAZNI POLSKO-NIEMIECKIEJ

Wiemy, co wówczas zaszło. Hitler się przyłączył. Nastąpił polsko-niemiecki pakt o nieagresji. Niemcy tracą wprawdzie wielki wysiłek winiestowany w propagandę światową ich praw do Pomorza, ale to Hitlerowi nie jest potrzebne. On nie będzie „korytarza” zdobywał przekonaniem.

Za to uzyskuje wielkie możliwości poruszania się w polskim terenie.

Powstaje legalna „Jungdeutsche Partei”, utworzona przez inż. Wiesnera w Bielsku. Roboty Wiesnera ogarnia nie tylko wszystkie ziemie b. zaboru pruskiego aż po Gdańsk, ale tworzy węzły organizacyjne w Łodzi, na Wołyniu i po licznych skupiskach Niemców w Królestwie.

Robiąc szereg robót legalnych, równocześnie, w myśl wskazań Hessa, przygotowuje dywersję wojskową. Z Niemiec stale dojeżdżają instruktorzy, młodzi ludzie z Polski wysyłani są na kursy do Niemiec.

Akcja masowego werbowania trwa dalej. Niemcy hitlerowskie idą pełną parą do wojny, nie dbają o pokrycie złote, nie dbają o racjonalną gospodarkę — wszystko to ma zapłacić już niedaleki łup wojenny. Hitler nie tylko likwiduje sześć milionów bezrobocia, ale potrzebuje wciąż nowych rąk do pracy. To też nie dziwnego, że kopalnie i fabryki po tamtej stronie chętnie zatrudniają przybyszów z Polski, ale to uderza, jak ich organizują. Na kopalni w Delbrueck pojawia się ogłoszenie w polskim i niemieckim języku, że pierwszeństwo w pracy otrzymają b. powstańcy polscy na Śląsku i ich synowie. Cóż się stało, że Niemcy poczynają wynagradzać udział w powstaniu? Przypominają się słowa Hitlera, kiedy powiedział, że za najlepszy materiał dla partii nazistowskiej uważa b. członków partii komunistycznej, bo mają temperament. A już z resztą ich przekonano sobie porażki.

Do spokojnej więc pracy fabrycznej poszukiwano, jak się okazuje, ludzi z temperamentem, a już z resztą radzono sobie na sposób hitlerowski. Robotnik przede wszystkim musiał się zgodzić na potrącanie składki organizacyjnej oraz na abonent niemieckiego pisma. Kiedy już się nałożyło, przed podwyżką zarobku następuje warunek, aby dzieci zapisali do niemieckiej szkoły na polskim Górnym Śląsku. A wreszcie — przychodzi ostateczne żądanie — spędzania urlopu robotniczego na „koloniach wypoczynkowych” i na koniec — na kursie w Leobschütz na granicy czeskiej.

W Leobschütz już się mówi wyraźnie. Jednorazowy każdy kurs przeszła 3 000 ludzi. Mówi się o tym ludziom, wciągniętym już w krwioobiegi niemieckiej pracy, powąsowanym, że ich przyszłość jest związana z losem Niemiec, że oni muszą rozpocząć powstanie, które wesprze potężna Rzesza. Kursiści uczą się obchodzenia z bronią automatyczną i z ręcznymi granatami oraz z zasadami partyzantki. Wieczorami wysłuchują kursów ideologicznych.

TUŻ PRZED WOJNĄ...

Już na kilka tygodni przed wojną zatrzymano na granicy śląskiej obok miejscowości Karol-

Emanuel przekradających się kilkunastu dywersantów z zakordonowanego „Freikorpsu”, złożonego z polskich obywateli. Nieśli oni wielkie plecaki naładowane rewolwerami i amunicją. Padł wówczas pierwszy trup — poległ dywersant Nowak z Chorzowa. Jak donosiły obecnie pisma niemieckie, odbyła się wielka uroczystość ekshumacji jego zwłok i przeniesienia do Chorzowa.

Ale taki wypadek był zgola wyjątkowy. Przypisy o małym ruchu granicznym umożliwiały omal bezkarnie chodzenie. Na granicy stał jeden strażnik na 3-4 kilometry. Śląsk zostaje zalany bronią niemiecką.

W kilku dni po zajęciu pod Karolem Emanuel policjant prowadził dywersanta, u którego znaleziono skład broni. Minęła go grupa mężczyzn, która pozdrowiła go grzecznie. Gdy go minęli, niejaki Kaleta strzelił mu w tył głowy. To był znowu pierwszy trup z naszej strony.

Kiedy aresztowano Kaletę, Niemcy podnoszą niebyszą gwałt. Pisma niemieckie roją się od opisów, jak zezwierzęceni Polacy wyrzucili Kaletę z małymi dziećmi z pierwszego piętra na bruk. Zaalarmowani korespondenci amerykańscy, którzy przyjechali na Śląsk, mają możność oglądania idyllicznego obrazka: Kaletę w ogródku otoczoną dziećmi.

Władze polskie nie dają się zastraszyć krzykami i biorą się ostro do likwidacji. Zostaje aresztowany przywódca inż. Wiesner, senator w poprzednim Sejmie z mianowania Prezydenta. Wiadomo było, że przewoził ośrodek broni. Przyczyną zostaje senator Wambeck, jak przewoził wraz ze swoją córką broni automatyczną. A przecież, kiedy powoływano Wambecka na miejsce Wiesnera, Niemcy podnosili gwałt, że „lojalna”, „Jungdeutsche Partei” zostaje pozbawiona przedstawicielstwa, lansowano w społeczeństwie polskie wiadomości, że Niemcy bojkotują Wambecka jako sprzedawczyka. Jak widzimy — komedia rozwija się według napisanego w Berchtesgaden scenariusza.

Poza tymi nazwiskami okazowymi stał w Bydgoszczy podporucznik rezerwy wojsk polskich Goersdorf — Geschaftsleiter Deutsche Vereinigung in Polen — kierownik wywiadu i dywersji na Polskę, organizator „powstania” niemieckiego w Bydgoszczy.

Zdaje się jednak, że Niemcy musieli poprzestać na własnej, copperskiej imprezie organizacyjnej, ale w zdrowe społeczeństwo polskie wniknąć nie mogli, jak to miało miejsce we wszystkich innych krajach, które podminowali. Przynajmniej w Polsce po ich wejściu nie okazało się ani jednego poważniejszego nazwiska po ich stronie.

Zresztą nasz wywiad nie spał. Szpieczy — technik fortifikacji na Śląsku i naczelny geometra Zarządu Dóbr Książa Pszczyńskiego — zostali rozstrzelani w Toruniu.

W ostatnich tygodniach przed wojną już ta robota niemiecka musi wychodzić z ukrycia, musi rozlewać się masowo. Bojówkarze niemieccy prowokują bójki po knajpach, które następnie są rozgłaszane przez prasę niemiecką jako terror polski. Równocześnie na teren zaczyna w potężnych ilościach napływać broń.

Do właścicieli knajp w Czerwionce zgłosili się jacyś po polsku mówiący ludzie, wynajmując skład na towary. Knajpiarz tknięty wysoką sumą, którą mu za to zaofiarowano, więc kiedy złożono pierwszą partię towaru, postanowił zająć do skrzyż. Okazało się, że podejrzania jego były nie słuszne. Skryżnie zawierali znane w Polsce konserwy — „Pudliszki” i dużą ilość aparatów radiowych. Obawiając się jednak, że aparaty pochodzą ze szmuglu — dał znać do policji. Po zbadaniu okazało się, że pod etykietą puliszek sprokurowano materiały wybuchowe; wystarczało wygnieść krądek w denku i wstawić lont. Pamiętamy liczne wybuchy w szkołach i lokalach niemieckich w ostatnim miesiącu przed wojną, które były rozstrzelane przez Niemców na cały świat. To właśnie pociąg były potrzebne owe „Pudliszki”.

Aparaty radiowe były idealnie proste, bezantenne, o uproszczonej skali. Potrzebna fale lała się jednym pokręceniem. Najwyraźniej były przeznaczone dla rozświecenia w terenie, ażeby stworzyć szybki i bezpośredni kontakt. Ale narazie nie wiadomo było nic bliżej.

Teraz odkrycia tego rodzaju mnożyły się. W jednej z wsi zgłosił się do policji kowal z tym, że obstarlowano u niego dwanaście jakichś dziwnych klamer, których użytku zamawiający nie umiał jasno wytłumaczyć. Wziewani fachowcy rozeznali, że mają to być klamry do wykolejania pociągów. Klamry te były zaopatrzone w tzw. „pięte”, która powodowała wybuch, skoro ją nadusi koło lokomotywy. Kiedy wywiadowcy dyskretnie udali się za dającymi obstarunek, wykryto skład broni automatycznej.

Teraz więc synpeli się rewizje. Wykrywano nowe zapasy „Pudliszek” i broni, wykryto pięć waliz typu jak ta, która rozwaliała dworzec w Tarnowie na trzy dni przed wojną. Na Pomorzu aresztowano 300, na Śląsku 500 dywersantów.

Popłoch padł na Niemców. Chowali broń pod węgiem, po stodolach. Na tydzień przed wojną wykryto 80 rewolwerów automatycznych pod stopniami ołtarza kościoła ewangelickiego w Siemianowicach. Umieścił je tam kościelny za wiedzą pastora.

Sojusznicy z naciskiem interweniują, aby nie drażnić Niemców. Ma miejsce dramatyczna rozmowa telefoniczna Becka z Grażyńskim. Na 1 500 aresztowanych pozwalają zatrzymać tylko pięćdziesięciu. Akta są jeszcze nierozpatrzone, trzeba więc puścić pierwszych lepszych. Można sobie wyobrazić, co się działo w duszach organów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Śląska. Obaj zdradcy — Wambeck i Wiesner — są wypuszczeni mimo oczywistych dowodów winy.

Ala robota niemiecka jest rozbita. Poza Tarnowem — nie eksplodowała ani jedna waliza. Nie eksplodowały ani jedne „Pudliszki”. Nie założono ani jednej klamry wybuchowej na tory. Jeden jedyny zamach na tunel na stacji Tunel w Kiełkiem — zlikwidowano. Po polach i zagajach, po ustronnych zaciszach za hałdami znajduje teraz policja pełno niemieckiej broni.

Dywersja wewnątrz była zduszona. Plany opanowania Polski od wewnątrz zawiodły. Stał może taka zawziętość i zapiekły żal do Polski o rozstrzelanych dywersantów, których zresztą poczęło rozstrzeliwać jedynie po wybuchu wojny, kiedy ich ujmowano z bronią w rękę.

Ala z zewnątrz, już przed wojną, przybywają coraz nowe grupy. Grupa dywersantów przybyła do Katowic i wysadziła szkoły niemieckie przy ulicy Młyńskiej i przy ulicy Stawowej. Gazety niemieckie rozdarły szaty.

W ostatnie dni przed wojną, kiedy w Warszawie do końca się ludzono, że wojny nie będzie,

na pograniczu nie mógł się ludzi nikt. W dzień — demonstracje tłumów gromadzących się po niemieckiej stronie granicy, w nocy strzelaniny, puszczanie kul świętych — wojna...

Na kilka dni przed pierwszym wrześniem radiostacja Gliwicka raz po raz nadaje tajemnicze komunikaty jak np.: „Dr. X soll seine Arbeit machen und dann sich melden” (Dr. X spełni zadanie i zamelduje się).

Doktorowie X, Y i Z nie spełnili w większości swych skrytobójczych zadań: z walizkami „Tarnowskimi”, z puszkami „Pudliszek”, z klamrami, mającymi wysadzać pociągi — powędrowali do więzień i wielu z nich ziemie teraz gryzie, o co niebyszą lament.

Należy uderzać wprost.

Zaczyna się to już na tydzień przed wojną. Na posterunku policyjnym na stacji w Makoszuwca znajduje się dworca policjantów i strażnik graniczny — kapral rezerwy. Ze strony niemieckiej aż do samego toru polskiego przylegają mury kopalni Delbrueck. Kilku dziesięciu więc dywersantów niemieckich musiał przesadzić tylko tor i już opanował stację. Postrzelili kolejarza, postrzelili kaprala, którego przewlekli przez granicę.

Nadzieję z pobłaż patrol polski, przepędził dywersantów. Na torze krwawa smuga wskazywała, że tamtędy wleczono rannego kaprala.

Radio niemieckie wystąpiło ze wściekłym atakiem na Polskę, która „rozczławniona gwarancją angielską nasyła bandy zbrojne na teren Rzeszy, która pragnie pokoju”.

Rzecz charakterystyczna jednak — Biała Księga niemiecka, która jest księgą kilkusetstronicowego pniacawca, która reprodukuje skargi swych konsulów na to, kiedy kokociek na całym terytorium państwa skrzywi się na Niemca — w tej sprawie milczy. Nie zdecydowano się podtrzymać zbyt wyraźnie załaganą tezę. W dwadzieścia cztery godziny po napadzie na Makoszuwca, na innym odcinku granicznym zabito policjanta oraz porwaną i przewieziono do Niemiec strażnika granicznego.

Wojskiem się wciąż nie obsadza granicy, aby nie dać Niemcom powodów do oskarżeń. Jedynie do śląskiej policji przyjmują się 500 kandydatów, oraz 500 policjantów przysyła Polcja Państwowa. Na parę dni przed wybuchem obie strony zatarasowały wszystkie drogi. Na tydzień przed pierwszym wrześniem Niemcy już nie pozwalają wrócić robotnikom z Polski na noc do domu.

Dywersant, student uniwersytetu Wrocławskiego, zeznaje przy badaniu, że naszem wypochu ma być odegrany wyznaczony dnia o g. 8 wieczorem z radiostacji Gliwickiej „Deutschenmeistermarsch”.

A więc wiadomo, po co były rozdawane odbiorniki...

WYBUCH WOJNY

Jak wiemy, atak niemiecki wernął się w Polskę kłunami. Pomiędzy tymi obcymi pancernymi, mającymi się zwracać dookoła do granicy, pozostawiali nieruszone całe poacie kraju.

Na odcinku śląskim postanowiono wypelnić te luki dywersantami. „Freikorps”, wyszkołony na tę okazę, złożony z owywaleń polskich, miał spełnić rolę powstańców. Ci powstańcy, ubrani po cywilnemu (mieni tylko opaski ze swastyką), byli jednak o wiele lepiej uzbrojeni, niż nasza policja, rozporządzająca zwykłymi pięciostrażowymi karabinami. Wojsko zostało wycelone, nasze związki powstańcze, strzelce, przysposobienia Wojskowe, jeśli kiedy miały jakie karabiny, to im teraz odebrano, bojąc się, by nie prowokowały Niemców.

A przecież robotnik śląski gorzał chęcią zmierzania się ostatecznego z Niemcem. 5 baonów powstańczych, po 400 do 500 ludzi każdy, obsadziło granicę. Górniki w ciągu dnia byli przy pracy, a w nocy chodzili na patrol. Na krótko przed wojną dali jeden karabin na 20 ludzi. Kiedy wojna wybuchła, leżeli po rowach z kamieniami w garściach, czyhali na broń zabitych towarzyszy i dywersantów. Naczelnik gminy Michałkowice, Fojkis, skazany na śmierć przez Niemców w drugim powstaniu śląskim, dowodzący pułkiem w trzecim powstaniu, nie miał już od szeregu dni dnia ani nocy spokojnej jako lokalny komendant Związku Powstańców.

Nad ranem w noc z 31 sierpnia na 1 września przyległ nad ranem, tak jak przyszedł z obchodu placówek, w mundurze, kiedy o pół do szóstej rano obudzili go rzadkie strzały karabinowe.

Poskoczył zdziwiony, że to tuż, boć zawsze budynek gminny, w którym mieszkał, znajdował się o sześć kilometrów od granicy. Uchyliwszy firanki na oknie, ujrzał oddział złożony, jak następnie obliczono, z 350 ludzi. Byli już tak blisko, że z całą wyrazistością zobaczył hakenkreutze na opaskach. Wszyscy byli uzbrojeni w 32 strzałowce automatyczne karabinki, w „stillhandgranaty” i w todtschlagery — palki żelazne, osadzone w drewnianych rekojęściach, zakończone nakręcaną na sprężynie mustrą żelazną — służącą do zabijania bez rozgłosu.

Fojkis odskoczył od okna. „Gdzie burmistrz?” — posłyszal głosy. Ale po chwili oddział ruszył dalej. Przesmyknęli się pomiędzy hałdami i groblą niepostrzeżenie w teren i pragnęli wykorzystać zaskoczenie. To uratowało Fojkisa życie. Rzucił się do telefonu, powiadamiając policję i powstańców. Po chwili biegł ku swoim, dopinając pas.

Niemcy, mając fałszywy wywiad, skierowali się do szkoły, przypuszczając, że w niej mieści się sztab powstańców. Nie znalazłszy nikogo, ruszyli na kopalnię.

Na kopalni jeszcze nie rozpoczęła się praca. Pięćdziesięcioletni inwalida, Szczepan Wilk, stróż fabryczny, odziany jak i inni w mundur powstańczy, bo od czterech dni obowiązywało pogotowie, nie spłoszył się zbytnio strzałami, które usłyszał jak i Fojkis. Czas był niespokojny i coraz to ktoś strzelał.

Nagle otwarły się drzwi, w których ukazał się dowódca oddziału, oficer w mundurze Reichshehry. Wystrzelał w skroń powalil Wilka. Nadbiegającemu robotnikowi Przybycinowi, rozdającemu marki przychodzącą do pracy — rozstraszano czaszkę „todtschlagerem”.

Teraz Niemcy ruszyli na trzy wieże wiertnicze. Ale nadbiegający zewsząd powstańcy kazali im się skupić. W pierwszym natarciu padło naszych czterech, wraz z inżynierem Chrobokiem. Z innych nazwisk zdołałem ustalić Kolanek, Solika, Prudę, Biegusa.

Niemcy obwarowali się w obszernym i solidnym magazynie fabrycznym. Szczepała garść powstańców nie począć nie mogła, ale trzyma dywersantów w saku.

O g. 8-ej słychać huczenie motoru. Nadjeżdża

wielki opancerzony samochód policyjny z dwudziestu policjantami. Jest między nimi komendant powstańców Bobelak, który udał się do Michałkowic na motocyklu na wieść o napadzie i którego policjanci wzięli po drodze.

Spalił magazynu nie można, bo Niemcy wzięli z zabudowań kopalnianych napotkanych Polaków i trzymają ich jako zakładników. Należy wysadzić zamczyste drzwi. Fojkis obejmuje komendę nad pancerką, która podejżdza pod same drzwi. Z okien pierwszego piętra broń maszynowa sypie ulewę kul, które dzwonią o pancerne blachy. Skoro pancierka podejżdza pod sam magazyn, rzucano pod nią wielki pęk powiązanych granatów. Bok pancierki zostaje przebity i pancierka staje w płomieniach. Za oga cała ma okaleczenia — wyskakują tylnymi drzwiami za mur otaczający magazyn. Niemcy rzucają granaty. Fojkis jest ranny w rękę. Mimo to, zapaści za murem, nie pozwalają Niemcom wymknąć się z obieży.

Bobelak tymczasem wraca po pomoc do głównej kwatery powstańczej. Obiega ją kilka tysięcy ludzi z kilkunastu pobliskich wsi, wołają o broń. Przyjeżdża dowódca dywizji Sadowski. Uściskali się z komendantem naczelnym: „Godziła wybiła!” Nikt w ten pamiętny dzień nie myślał o klęsce, tylko o ostatecznej rozprawie.

Wysłano do Michałkowic pół kompanii z poleceniem, aby pomogła powstańcom zdobyć magazyn. Nikt się nie orientował, że broni go 350 świetnie uzbrojonych ludzi.

Zakołysał się tłum. Widać z okien z góry, że prowadzą pierwszych dwudziestu jeńców dywersantów w jezu bagnetów. Ioh dwadzieścia karabinów dają powstańcom. Dalszych sto przywożą z dywizji.

Wnet stała kompania stu dwudziestu ludzi. Twardo to materiał. Brali udział w trzech powstaniach, znają Niemców, umięli się z nimi bić.

Ale ci nie idą do Michałkowic, bo, skoro wojska są cofnięte naogół, nie można nastarczyć ludzi z bronią. Pięćdziesięciu wzmacnia policję, szesnastu strzeże sztabu dywizji, reszta udaje się na patrol. Wieczorem tegoż dnia 1-sza kompania Mikułowskiego powstańców otrzymała broń i poszła z wojskiem do okopów. Gdy wojsko cofnęło się — broniła wzgórze do ostatka... Wybita do jednego ze swoim prezesem grupy Mikułowskiej na czele.

Kiedy wysłano pół kompanii przybywa do Michałkowic o 10-ej, sytuacja jest niezmieniona. Ataki powstańców są bezskuteczne i gęsto leżą po naszej stronie zabici i ranni.

Dowódca oddziału, podporucznik, którego nazwiska nie znam, widzi, że okna magazynu zięjące ogniem są wąskie, że mury grube, że jedynie można szturmować drzwi. Sam rusza pod nie z wiązką powiązanych granatów i pada zabity.

W godzinę potem przybywa drugie pół kompanii. I tego oddziału dowódca poległ.

O g. 3-ej wreszcie Niemcy wzięli, że zostaną wybiti. Otwierają się drzwi, ukazują się w nich dowodzący oficer Reichshehry. Przykłada granat odbezpieczony do gardła i woła: „Es lebe Deutschland! Heil Hitler!” Oszłołmienni powstańcy na chwilę się zatrzymali. Kiedy wpadli do magazynu, znaleźli 48 trupów dywersantów. Inni dywersanci starali się ratować ucieczką poprzez zabudowania fabryczne.

Naszych poległo 18, rannych 72. Niemców poległo po nad stu, jeńców wzięto po nad czterdziestu.

Zapytywani, co ich skłoniło do napadu na ojczyzną ziemię, odpowiadali: „My wam przynosimy wolność. My się chcieli tylko tych pierońskich goroli pozbyć”.

Tak się skończył ów piątek — pierwszy dzień wojny. Sobota minęła spokojnie. Rano w niedzielę ranny Fojkis siedział spokojnie samotnie w mieszkaniu. Przybiegli znajomy Niemiec: „Uchodźcie, panie Fojkis, bo oni już wchodzi do Michałkowic”.

Boczną drożką na rowerze uchodził Fojkis tak jak stał — w mundurze powstańczym. Z boku powitała go strzelanina. Niebawem był za wzgórkami. Kwiaty pięknie kwitły, ziemia pachniała i żegnała go na długie rozstanie.

* * *

Wiemy jaki tragiczny finał był udziałem tych walk. Musielimy się cofać. Batalion powstańczy z Piekar, liczący 300 ludzi, cofał się pod dowództwem swego komendanta Jana Barona. Piątego dnia wojny pod Miechowem, posł na Sejm Śląski, z którym przeżywałem wspólnie dni Zaelzia, Płonka, pojechał szukać kwatery. Powstańcy, oczekując na niego, poczęli warzyć strawę. Niespodziewanie otoczyli ich Niemcy i wyrzucili w pień.

W Jędrzejowie Niemcy wywiekli kwaterujących 20 powstańców. Kazali im iść z podniesionymi rękoma w kierunku Śląska. Szli tak, wznosząc ręce ku ziemi, którą tyle nocy swoich widzieli jaśniejącą ogniem hut. Ale teraz ciemna ta ziemia była przed nimi, daleka i niewidoczna. I tak padł od salwy z tyłu.

Ostatnia się cofała policja i powstańcy. Starszy posterunkowy Międzybrodzki w wiosce granicznej Cwierczynowie przypomniał, że został akt „mob” na posterunku. Mimo, że Niemcy wchodzili drugą stroną do wsi — wrócili. Dali salwę, widząc, że ktoś jest we wnętrzu posterunku. I tak zastęgi na stole, z którego zbierał akty, jakby chciał bronić do końca tajemnicy.

A na północy równocześnie działał por. Goersdorf. W Łasinie na Pomorzu ludność niemiecka wyróżnia polską, w Bydgoszczy strzelano z okien do wycofujących się wojsk, nastąpiło formalne niemieckie powstanie. Przeliczyli się jednak, bo wojska polskie wróciły. W czasie trwających cały dzień na ulicach walk zabito 160 Niemców. Wówczas okazało się, że owo „powstanie” niemieckie było urządzone według planów Hitlera, marzącego o podbijaniu krajów od wewnątrz: na 160 zabitych — tylko dziesięciu okazało się mieszkańcami Bydgoszczy. Reszta — to Niemcy z Rzeszy.

Nie udało się z tym „oponowaniem od środka”. Ale trupy się przdyły. Bezpośrednio po wkroczeniu wojsk, wezwano rodziny zabitych dywersantów, pochodzących z terenu, i pofotografowano matki i żony pochylone nad ciałami, „zwierzęcą pomasakrowaną przez Polaków spokojnej ludności cywilnej niemieckiej narodowości”.

Obecnie prawda musi milczeć. Liczba zabitych „bestialsko” przez Polaków Niemców wciąż rośnie. Z trzech tysięcy kilkuset doszła w kilka miesięcy do 56 000.

Te kłamstwa nie osłonia prawdy — o skrytobójczym napadzie na ziemię, której lud, jak przez wieki, chciał spokojnie pracować.

„Kirpicz“, z którego budowano lepianki, wysychał i kruszył się od żaru słonecznego. W ścianie powstała więc szczelina, przez którą wypychało się światło. Z rana wyglądało to jak przezrysta szklana tafla. W miarę przybywania godzin dnia światło żółkło, pęczniało, stawało się ruchliwe od wirującego w nim pyłu. Jankowi wydawały się te iskierki pyłu podobne do małych muszek. Kiedy słońce przesunęło się na drugą ścianę domu, światło w szczelinie stawało się znowu nieruchomą taflą. Wraz ze zmierzchem tafla zniknęła.

Był to jakby zegar słoneczny Janka.

Matka ze starszym bratem Jędrkiem wychodziła o świcie do pracy w stepie. Zbierali się po ciemku, starając się zachować jak najciszej. Janek udawał, że śpi, to też matka, nachylając się nad nim, mówiła uspokojona:

— Dobrze, że się nie obudził. Zdaje się, że dziś nie ma gorączki.

Janek słyszał, jak stawiała na ziemi obok jego postania kubek z przegotowaną wodą. Słyszał nawet, jak lekko otarła się kromka chleba o brzeg kubka. Westchnienie matki zdawało się być tylko głębokim oddechem. Nie patrząc wiedziała, że robi nad nim znak krzyża. Ale Jędrzek naglił już prawie na głos:

— Chodźmy, bo dostaniemy najcięższe grabie.

Po wyjściu obojga, Janek natychmiast otwierał oczy. Przez kilka chwil patrzył w szare, mętne powietrze wypełniające izdebkę. To nie było zajmujące. Szczelina w ścianie ledwie zieleniała przedświtem.

— Niema jeszcze czwartej — stwierdzał Janek i znowu przymykał powieki, nie żeby usnąć, tylko żeby sobie coś swojego wyobrazić.

Wyobrażenia brały się z byle czego. Czasem Janek wysnuwał je wprost z siebie samego, a czasem jakieś słowo rozwijało się i mnożyło w obrazy. Jędrzek powiedział: „grabe“. I zaraz wyobraził się Jankowi jasny, słoneczny dzień w Kaniówce, gdzie spędzał raz wakacje u swojego przyjaciela, Kazika. Byli właśnie na łące, na której ludzie grabili siano. Janek i Kazik leżeli pod kopią. Zapach siana dymił jak kadzidło. Na blade błękitnym niebie płynęły obłoki srebrzone blaskiem słońca. Jaskółki latały nisko i skwir ich podobny był do zgrzytu noża po szkle.

— To na deszcz tak latają — powiedział Kazik. Janek spał się, że deszczu nie będzie. Kazik nazwał go mieszcuchem. — Co takie „lwowskie dziecko“ wie o tych sprawach! — Powiedzieli się, zaperzyli na siebie, ale potem zgodnie poszli grabić siano. Grabie były ciężkie, a kije sięgały ponad głowy chłopców.

Działo się to dawno, chyba ze dwa lata temu. Teraz Janek nie gniewał się już na przyjaciela. Pełny troski myślał: — Gdzie teraz jest Kazik? Może i jego tak samo wywieźli aż tu, do Kazachstanu? — Jędrzek obliczył raz, że do Lwowa jest tak więcej niż pięć tysięcy kilometrów. Pięć tysięcy to duża cyfra. Pięć tysięcy — to bardzo daleko.

Janek znał dobrze to dziwne uczucie, które zrazu tłucze się w sercu urwanym łomotem, aby następnie długo nękać żalem, który wszystko ogarnia i niczego nie dosięga. Uczucie to nazywa się — tęsknotą i jest bardzo podobne do głodu, którego nie ma czym nasycić.

Nie otwierając oczu, sięgnął Janek po chleb i wodę. Posilał się „na ślepo“. Jadł powoli, odgryzając małe kęski. W ten sposób wydawało się, że chleba jest dużo. Można też było wmówić sobie, że chleb jest posmarowany masłem. Smak wody był mdły, ale na upartego można było wyobrazić sobie, że to nie woda, tylko herbata, kakao, mleko.

Zjadł całą porcję ohleba i wypił cały kubek wody. Powinien był podzielić, żeby trochę teraz zjeść, a trochę zostawić na później. Matka zawsze nakazywała: — Nie od razu, Janku, bo potem przez cały dzień będziesz głodny. — Ale czy to nie wszystko jedno? I teraz, po tym śniadaniu, był głodny. Zupełnie jagłą albo jęczmienną ugotuje matka dopiero wieczorem, kiedy przyjdzie z pracy. Wolałby kaszę na gęsto, kopyto nałożoną na talerz.

Myślenie o tym było dokuczliwe i w jakiś sposób obrażało. Jędrzek, który nie dobierał słów, powiedział raz: — Ciagle tu człowiek tylko myśli o żarciu. — A matka martwiła się: — Czym ja was nakarmię? Janek taki chudy. Malaria go zjada. Jędrzek rośnie i ciężko pracuje. — I matka myślała ciągle o „żarciu“, bo w worku było kaszy już tylko na dnie. Mały chlebek dzieliła sprawiedliwie na trzy porcje, wycinając nożem figurę podobną do „Y“. Jej spracowane, opalone ręce były tak brązowe jak skórka chleba. Żył na rękach także przypominały literę „Y“. Jędrzek tylko udawał, że nie patrzył łapczywie na chleb. Czasem mówiła matka: — Zjedz, Jędrku, bo ja jakoś nie mam apetytu. — Jędrzek ociągał się, nie chciał, ale na ostatku zjadał. Janek nie byłby się nikomu przyznał do tego, że patrząc na Jędrka zjadającego dodatkową porcję, przestawał go na moment lubić.

Matka mówiła wtedy ni stąd ni zowąd: — Gdyby nie Jędrzek, nie dałabym sobie rady. — I tak było naprawdę. Zaradny, mocny, zdrowy, potrafił Jędrzek wszystko zrobić. Stołek zma-

HERMINIA NAGLEROWA

CHLEB

strował z deszczek, które skądś wy dostał, na dworze ułożył z kamieni kuchnię, w stepie zbierał suche badyle do palenia, z „aryku“ płynącego o pół kilometra stąd przynosił wodę. A raz przyniósł Jankowi kawałek cukru...

Janek niespostrzeżenie znowu zaczął myśleć o tym, że zjadłby dużo cukru i cały bochenek chleba. Gdyby tak na dzień każdemu po bochenku, możeby starczyło, może nie byłoby głodni. Nie raz, jak mu głód już bardzo dokuczył, połykał proszek chininy razem z papierkiem. Robił to tak: zanurzał papierkę w wodę, potem skręcał w kulkę, a jak kulka zatrzymywała się w przełyku, zapijał wodą. Nie czuł wtedy gorzkiego smaku proszka i miał uczucie, że trochę pozbył się czczości w żołądku. Ale chininy nie dostawał już od dłuższego czasu od „miedziestry“. Już wogóle nie przychodziła do Janka. Kiedy była ostatni raz, poradziła mu, żeby sam z siebie wyzdrowiał.

Jędrzek wybrał się więc po chininę do miasteczka, które było odległe o 30 klm. i tylko stracił dwa „trudodni“, bo lekarstwa nie dostał w aptece. — Niema i już nie będzie — powiedział aptekarz. Jędrzek oświadczył wtedy Jankowi ponurym głosem: — Postaraj się wyzdrowieć, bo przecież na zawsze tu nie zostaniemy. — Janek doskonale rozumiał Jędrka. Bo, żeby nie wiedzieć co, wrócić do Polski, do Lwowa i znowu mieszkać będą w tym samym mieszkaniu przy ulicy Nabelaka. Będą tak samo grać w piłkę albo w „kiczkę“ na placu. I wszystko będzie tak, jak było. Bo tamto istnieje naprawdę, a to tutaj — śni się tylko. Tamto czeka na przebudzenie się, na otwarcie oczu.

Janek otworzył więc oczy, ale „tamto“ przestało nawet snuć się w wyobrażeniu, bo oczy dojrzały szare ściany lepianki i wsuniętą przez szczelinę taflę światła słonecznego.

— Siódma — powiedział Janek głośno.

W stepie zaryczał płaczący osiołek, kogut zapiął gdzieś blisko. Zaraz też usłyszał Janek czapiące kroki starej Kazaczki, do której należał osiołek, kogut i lepianka. Z początku, kiedy wynajęli tę izdebkę, Janek bał się czarnej staruchy. Ale z czasem przyzwyczał się do jej płaskiej twarzy i do chrapliwego brzmienia jej głosu. Wchodząc, siadała od razu na progu. Wyglądała wtedy jak na obrazie w tym swoim szafirowym, spłowiałym chałacie i w białej chusteczce na głowie. Futryny drzwi były niby ramą, zamykającą płaski kraj obraz — step popielaty, chropawy od wyschłych ostów, ścielący się daleko aż do podnóża „sopek“. Jędrzek mówił, że te niskie pagórki są odnogami gór Altajskich. Sopki rysowały się falistą linią pod niebem ciemno błękitnym.

Kazaczka mówiła tylko trzy zrozumiałe wyrazy: chleb, lepioszki, pierożki. Brzmiało to jak wiersz. Niekiedy śpiewała jakąś melodię, podobną do lamentu. A potem znowu: chleb, pierożki, lepioszki... Na jej chudej, pomarszczonej szyi widać było wyraźnie ruch przełykania śliny. Janek mimo woli tak samo łykał ślinę. Czasem dawała mu kazaczka garść ziarenek słonecznika, uśmiechając się przy tym porozumiewawczo. A raz przyniosła mu cały słonecznik z żółtymi listkami kwiatu i z meskiem żółtych pręcików na tarczy środka. Wyglądało to ładnie, ale ziarenka, białe jeszcze i puste, nie były jadalne.

I dziś weszła Kazaczka do izby, aby powiedzieć to samo: chleb, lepioszki, pierożki. Potem przepiewała swój lament i odeszła. Dzień dłużyl się Jankowi. Mógłby wprawdzie poczytać trochę w czytance „Dawniej i dziś“, nie wolno mu jednak było wyjmować jej z walizki zamkniętej na klucz. Od czasu do czasu przychodził bowiem „piedsiadatiel“, aby szperać po wszystkich kątach.

Oto właśnie stanął w drzwiach, wysoki, mocno ściśnięty w pasie rzemieniem. Kaszkiet miał zsunięty od czoła tak, że czarny kędziorek w kształcie obwarzanka wysuwał się z pod daszka. Buty piedsiadatiela były jak zawsze zakurzone. Od razu dostrzegł na skrzynce zapakki i zapalił papierosa skręconego z papieru gazetowego. Pociągnął kilka razy, dmuchnął dymem na izbę. Potem przemówił gniewnie: — Dlaczego się wylegujesz, dlaczego nie idziesz w step na robotę? — Podszedłszy blisko do postania Janka, krzyknął: — Dawaj wstać! — i ściągnął z Janka koc.

Janek wiedział wprawdzie, że jest chudy, ale dopiero teraz, kiedy piedsiadatiel widział jego nogi cienkie i sine, wystające kolana i kości biodrowe, doznał uczucia rozpacz i wstydu. Leżąc na ziemi, na tym swoim postaniu, które właściwie było barłogiem, nie

potrafił opanować tych uczuć, które, miesząc się z sobą, zamieniły się w złość.

— Nie odkrywaj! — krzyknął.

Piedsiadatiel splunął na bok i lekceważąco machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: — Nic już z ciebie nie będzie.

Janek krzychał bez opamiętania: — Będę zdrowy, będę silny! Piechotę pójde do Polski...

Urwał, bo czuł, że zaraz się rozpłaczę. Naciągnął więc tylko koc na głowę, i tak piedsiadatiel wyszedł z izby. Pod kocem leżał jak martwy. Nie słyszał nawet, kiedy w ciemnicy od razu się uspokoił. Długi czas robiło mu się co raz bardziej duszno. — Mam gorączkę — przeraził się. Byle tylko nie zaczęło go trząść! Taka głupia choroba, że trzęsie, że zęby dzwonią. A po ataku serce takie cichutkie i omdlałe. Wtedy niema się już żadnych pragnień i wtedy, gdyby przyszła ta chwila, że choćby pieszo, choćby boso...

Janek odrzucił koc z twarzy. Piedsiadatiel wychodząc zamknął za sobą drzwi. W izbie było więc tak samo duszno. W południe rozgrzewała się lepianka i wtedy zaczynało Jankowi dokuczać pragnienie. Nieraz zastanawiał się nad tem, co trudniej znieść: głód czy pragnienie. Ale lepiej było nie zagłębiać się zbyt w te rozważania, bo wtedy zdawało się, że wysychanie śliny, że skręcanie się jelit i kurczenie żołądka jest nie do zniesienia. Należy raczej mieć silną wolę i wyobrazić sobie, że jest się wędrowcem w pustyni. Janek czytał raz w jakiejś zajmującej książce, że pewien wędrowiec przez kilka dni nie pił wody. I wytrzymał. W książce tej było także o zjawisku w pustyni — fata morgana. — Przydałoby się i tu takie zjawisko. Dobrze byłoby choć przez godzinę łudzić się, że „zbliza się zbawienie“. Bo tak właśnie było w tej książce napisane: „zbliza się zbawienie“.

Janek przypomniał sobie, że ma tu przecież takie zbawienie, nawet wcale nie ułudne, tylko rzeczywiste. Było to pudełko ze skarbami. Ileż to zaglądał do pudełka, zapominał o nekającym go głodzie. Przechowywał bowiem w pudełeczku srebrną dwuzłotówkę, guzik z orzełkiem, kolorowe ołówki, muszelki uzbierane w piasku na Helu i kalendarzyk uczniowski. W kalendarzyku — mapa Polski, cała Polska i skrawki sąsiadujących z nią krajów. Była więc Rumunia, dokąd jeszcze w ubiegłym roku poszedł ojciec Janka. Była i Rosja, do której jechali w wagonie towarowym. Przez miesiąc jechali do tego Kazachstanu, którego jednak nie było na mapie, bo to już Azja. Janek nie umiał wtedy pojąć wielu rzeczy i nie był jeszcze przyzwyczajony do głodu, żalił się, nawet płakał. Bo już w wagonie zaczęło się z tym głodem z tym wydziałaniem chleba, którego na końcu podróży wreszcie zabrakło. W wagonie umarło dwoje dzieci i jeden starszy pan. Z głodu.

Mały kalendarzyk w zielonej ceratowej okładce zawierał jednak prócz mapy także czas miniony i czas przyszły. Do 1 września 1940-go roku. Był to przecież kalendarzyk szkolny na rok 1939/40. Niektóre dni były podkreślone ołówkiem na znak, że coś ważnego w tych dniach się stało. Wtedy właśnie 1 września 1939 jako dzień wybuchu wojny. 22 września — wejście czerwonej armii do Lwowa. 10 stycznia — ojciec poszedł z domu, aby przejść granicę. 18 kwietnia — wywiezienie do Rosji. 10 maja — przyjazd do Kazachstanu, w step. A teraz był już czerwiec. „Czerwiec ma trzydzieści dni“ — czytał Janek. W czerwcu — imieniny Janka. Pojutrze.

— To nie ma tutaj znaczenia — skarcił się Janek, bo już zaczynał marzyć, jak to zwykł czynić i ubiegłego roku i przez te wszystkie lata wstecz. Zawsze wolno mu było przed imieninami „coś sobie wymarzyć“ i czegoś „pragnąć“. Powierzał te pragnienia rodzicom i jeżeli nie były zbyt dziwaczne, spełniały się w formie upominków imieninowych.

Janek uśmiechnął się żałośnie i jeszcze raz powtórzył: — To nie ma tutaj znaczenia. — Ale gdyby tak matka zapytała: — Co ci kupię na imieniny? — Nie zapyta, ale gdyby... Janek od razu „wymarzył“ sobie i od razu wiedział, czego „pragnie“. Oto, żeby raz jeden, w dzień swoich imienin mieć cały bochenek chleba dla siebie! Raz jeden!

Pomyślawszy o tem, zawstydził się, że już nic innego nie pragnie, że właśnie tak, jak mówił Jędrzek — o niczym innym, tylko o jedzeniu... Nic jednak nie mógł na to poradzić, że nawet skarby w pudełeczku nie odwoływały go dziś od tej natrętnej myśli. W istocie były jak owa fata morgana, która łudząc, nie zapobiega cierpieniu wędrowca.

Głód nie tylko ściągał bolesnie żołądek, ale rozchodził się po całym ciele mrowiącym

uczuciem chłodu. Janek postanowił więc wstać i wyjść w step. Pójdzie naprzeciw matce i bratu. Po drodze narwie dzikiego czosnku i naje się do syta.

Step, czerwieniąc się w zachodnim słońcu, był jakby zaspany jarzącym się węglem. Na niebie gorzały płomieniste smugi, a wśród nich stało ogromne słońce — krąg wypełniony ogniem. Wprędce jednak „sopki“ połknęły słońce i zaraz też siny zmierzch przeciągnął się po stepie. Janek szedł zrazu dzielnie. W duchu postanowił, że teraz codzień będzie tak maszerował, że to będzie jakby zaprawa aż do tej chwili, kiedy ruszą w daleką drogę. Wnet jednak poczuł się zbyt ciężki. Chude nogi nie mogły go nieść. Nawet żołądek, choć pusty, zdawał się ciężyć. Trzeba było usiąść i odpocząć, a przecież nie uszedł jeszcze pięćdziesięciu kroków. Zapach piołunu odurzał i wnet też zaczęła Jankowi ciężyć głowa. Coś jak sen zmaćło myśli chłopca. I gdyby nie ukąszenia komarów, mógłby tak pogryźć się w błogości beznogi i omdlenia.

Opędzając się od komarów, zawrócił do domu. Szedł długo, zataczając się, padając. W ciemnej już izbie przyznał się sam przed sobą do swojej klęski: nie miał sił. Nic innego już się nie stanie, nic innego... Położył się na swoim postaniu, a kiedy przyjdzie ta chwila, że choćby pieszo, choćby boso — zostanie tu sam...

Po policzkach Janka ciekły bezwiednie łzy. Nie ocierał twarzy. Łzy wpływały do ust i słony ich smak jakby uśmierzał głód i łaknienie. Nagle wstrząsnęła Jankiem myśl: — Jem samego siebie, bo przecież żyją są moje, żyją to ja. — Mógłby być krzyknąć z przerażenia, ale bał się siebie i swojego głosu.

Tak doczekał przyjścia matki i brata. Jędrzek zaśwyciła lampę, zakrzętnął się przy rozpalaniu ognia pod kuchnią z kamieni. Matka pośpiesznie przygotowywała garnek z wodą, którą zasypała garścią krup jaglanych. Kiedy jedli wieczorem i matka podzieliła już chleb na porcje, Jędrzek odezwał się swoim zwyczajem trochę burkliwie: — Pojutrze będą kluski na mleku. — Janek wiedział wprawdzie, jaki to dzień będzie pojutrze, ale nie przyznał się, że pamiętał o swoich imieninach. Powiedział tylko: — Skąd dostaniesz mleka? — Jędrzek zaśmiał się: — To już moja rzecz. Ty pewnie myślisz, że krowie, więc ci od razu powiem, że kowie. Może ci nie będzie smakowało? Co?

Matka odezwała się cicho: — Nie dokuczaj mu, Jędrku. Przecież i tak nam nie wesoło. — Zamilkła na chwilę i znowu: — Nie wesoło nam. I sama nie wiem, jak ci to powiedzieć. Janku, bo tak teraz inaczej niż kiedyś. Pojutrze twoje imieniny. Chciałabym, żebyś mi powiedział, co ci...

Nie dokończyła. Ale Janek prędko, jakby się bał, że inaczej tego nie wypowie, wyrecytował: — Chciałabym, żebyś mi dała cały bochenek chleba. Żebym miał cały bochenek dla siebie samego.

Matka milczała. Nawet Jędrzek nic nie powiedział. Jankowi dopiero teraz przyszło na myśl, że matka pewnie nie ma pieniędzy na ten chleb. Więc też zaczął wszystko obrać w żart. Ze tak naumyślnie powiedział o chlebie, że tylko dlatego, żeby drażnić się z Jędrkiem.

— Nie — nie — zaprzeczyła matka i wcale nie można było zrozumieć, czy kupi ten chleb, czy też nie.

Janek przez cały następny dzień odpędzał „marzenie“ o chlebie, jak złą osę. Ale kiedy był już tak głodny, że prawie tracił przytomność, jawił mu się okrągły, wypieczony bochenek razowca. Była to jednak tylko — fata morgana. Jak wędrowiec przez pustynię, tak wędrował Janek przez długie godziny dnia. Bochenek chleba zjawiał się, zbliżał. Czuł jego zapach, wyobrażał sobie jego smak. Wtedy znikał.

Raz zdawało się Jankowi, że trzymał już chleb mocno w rękach. Teraz już mu się nie wymknie. I nóż miał w ręku. Ten sam, którym matka krajała chleb na trzy części. Więc i on tak samo — na trzy części, sprawiedliwie. Uważnie wycinał na skórcie chleba figurę podobną do litery „Y“. Dla matki, dla Jędrka, dla siebie. Widział nawet, jak biorą swoje porcje, jak je zjadają ze smakiem.

Radość, jaką z tego odczuwał Janek, na chwilę wybiła go z nieprzytomności. Powiedział szepem, w którym brzmiała rozpacz: — Nie ma, chcę...

Potem, gdy przyszli ze stepu, przebudził się na krótko. Na jawie i przytomnie ujął rękami chleb. Był cały, był dla niego.

Matka mówiła: — Daję ci go dziś w wigilię imienin, bo świeży.

Poprosił o nóż. Głos jego był tak cichy, że matka musiała ukłęknać przy nim i zbliżyć twarz do jego twarzy. Zapytała trwożnie: — Co mówisz, Janku? — Powtórzył: — Nóż.

Ale nie miał siły podzielić chleba. Nóż wypadł mu z ręki. Jeszcze tylko szepnął: — Podzielić — na trzy — części — dla ciebie — dla Jędrka i dla... Słowa „mnie“ już nie wypowiedział. Ogarnęła go ciemność i cisza.

Począwszy od 2. numeru rozpoczynamy dział PRZEDRUKÓW objętości jednej kolumny.

W najbliższych numerach ukażą się:

Karola BRZOZOWSKIEGO: Noc strzelców w Anatolii (fragmenty).

Jana St. BYSTRONIA: Emir Rzewuski.

Tadeusza KOWALSKIEGO: Składniki kultury muzulmańskiej.

Stanisława KUTRZEBY: Rosja wobec Polski w czasie Wielkiej Wojny.

TRZY WARSZAWY

(Artykuł z Kraju)

Warunki okupacyjne spowodowały scentralizowanie w Warszawie wszystkich nici życia politycznego, wojskowego, kulturalnego. Jak nigdy dotąd, Warszawa stała się Akropolą, sercem, mózgiem, stolicą Polski. Nie wolno jednak zapominać, że na terenie rozciągającym się od Służewca po Wolę i od Saskiej Kępy do Żoliborza, znajdują się trzy odrębne Warszawy, każda żyjąca w odmiennym klimacie psychicznym, komunikujące się pomiędzy sobą luźnie lub wcale, i relacje, aktualne dla jednej, są zupełnie nieścisłe dla drugiej.

Trzy Warszawy dadzą się scharakteryzować następująco:

1) Warszawa haniebna. Bardzo nieliczna, wynosząca najwyżej 5 procent ludności stolicy. To Warszawa, która się bawi, paskuje, robi dobre interesy do spółki z okupantem, gra w kasynie, stroi się, jada przedwojenne, wyrzuca pieniądze garściami, nie tęskni do końca wojny. To pośmięcie, ta hołota, regularnie piętnowana w tajnej prasie, jest demonstrowana przez Niemców korespondentem neutralnym, jako dowód dobrego samopoczucia Polaków pod okupacją. Warszawa haniebna posiada swoich artystów. Niektórzy z nich znani byli niegdyś. Poszedłszy na ponizającą służbę Niemcom, przekreślili raz na zawsze możliwość powrotu na scenę wolnej Polski. W przyszłości muszą zmienić zawód, albo wyjechać z Niemcami. Społeczeństwo nie znieśnie nikogo z tych, którzy wysługiwali się wrogiem. Rachuba na przyszłowiową polską dobroduszość zawiedzie.

O tych wstydlivych sprawach należało wspomnieć, by wyjaśnić sytuację. Przyleci bowiem Szwed, czy Szwajcar do Londynu i opowie, że w Warszawie idzie sztuka z Junoszą Stempowskim, że Kraków wznowił komedię Jasnorzewskiej...*) Podobna informacja wywoła sugestię normalnego życia. Otóż należy stwierdzić, iż w okupowanej Polsce nie istnieje żaden teatr poza propagandowym niemieckim, do którego nikt porządny nie uczęszcza, artyści zaś, którzy się na tej scenie wygłupiają, otoczeni są powszechną pogardą.

Obok artystów, Warszawa haniebna posiada kapelmistrza. Kilku muzyków oraz pomniejszych plastyków. Z czołowych malarzy lub literatów nikogo. Warszawscy redaktorzy i współpracownicy „szmatławca” konspiracyjnie starannie, świat podziemny nie ukrywa się tak pilnie przed okiem Gestapo, jak ci redaktorzy przed okiem rodaków. Nie na wiele im to pomaga, gdyż personalia wszystkich są dawno stwierdzone.

Istnieje również wydawnictwo, na podobieństwo teatru zwane „polskim”. Poza kilku drugorzędnych literatów, którzy przed dwoma laty poszli na współpracę z wrogiem, nie zdołało ono już pozyskać nikogo i węgusze jako krzepiący dowód beznadziejności wysiłków niemieckich. Produkty „wydawnictwa polskiego” mają tak słaby odbiór, że ostatnio jedna z firm warszawskich zakupiła nakład niesprzedanego „kalendarza na rok 1942” i sprzedaje go jako... papier klozetowy. W tej formie dopiero kalendarze cieszy się popytem, gdyż zadanie swoje spełnia, jest zaś znacznie tańszy od normalnego papieru higienicznego.

2) Przejdźmy do drugiej Warszawy, biernej. Nawiązując do popularnej przedwojennej powieści radiowej p. Marii Kuncewiczowej, nazwijmy ją Warszawą państwa Kowalskich. Jest ona liczejsza, wynosi około 70 procent. Składa się z ludzi, którzy nie biorą czynnego udziału w życiu podziemnym, niemniej postawa ich w stosunku do okupanta jest pełna godności. Stanowi solidne żywioły, do dla rozgrywających się zapasów świata niepodległościowego z wrogiem. Interesuje się wszystkim, co słychać w świecie podziemnym, lubi udawać dobrze poinformowaną, a że sama nie walczy... Mój Boże, nie każdego na to stać. Jednych wstrzymującej największe tohórstwo, innych brak temperamentu, przeciętne rodziny, praca zarobkowa, słabe zdrowie, jeszcze innych instynkt praworządności wzdrygający się przed życiem konspiracyjnym poza-wiednego domu, nazwiska, osobowości. Nazywa się codziennie inaczej, spłacać codziennie gdzieś, mieć kilka legitymacji, żadnej prawdziwej, nie być nigdzie meldowanym, tańczyć nieustannie taniec wśród mieczów, to nie dla państwa Kowalskich, przyzwyczajonych opierać swój pogląd na świat na dobrze działającej policji.

Nie należąc do świata podziemnego, Kowalscy wiedzą o nim, zazdroszą mu. Im dłużej okupacja trwa, tym bardziej przekonują się, że nie warto być ostrożnym. Powściągliwość nie zabezpiecza. Nie kto inny, lecz właśnie Kowalscy dostarczają kontyngentem łapanek ulicznych, giną w wypadkach „odpowiedzialności zbiorowej” całym bokiem, od poddasza do suteryny, dają głowę za bojownika przyłapanego na drugim piętrze ze stacją nadawczą. Poza tym biedują, głodują, trzęci zimę spędzili w nieogrzanych mieszkaniach. To też coraz częściej przechodzą na stronę walczycej. Zawsze są solidarni. Pełnią rolę warstwy izolacyjnej, oddzielającej świat niepodległościowy od wysługujących się Niemcom kanali. Jeśli na ulicy policja goni kołportera, tworzą samorządnie tłum, który wrzeszczy: „łapać złodzieja!”, tłoczy się ciśnie, myli, ukazuje gorączkowo przeciwną stronę, niż ta w którą pobiegł zbieg, oddaje uciekającemu płaszcz, kapelusz, zabiera niebezpieczną paczkę...

Życie kulturalne Kowalskich jest szare. Boją się czytać tajną prasę, wstydzą „szmatławca”. Przystanęliby nieraz chętnie pod „szczekafonem” ulicznym, lecz wnet andrusy z Walki Cywilnej powieśią im nad głowami tabliczkę: „postój dla bydląt”. Nieprzyjemnie. Orkiestr ulicznych grających „Warszawiankę” coraz mniej, Niemcy je wyłapali. Produkowała się kiedyś grupa lnoskoczków niemieckich na Placu Napoleona. Kowalscy poszli tłumnie, osmarowano ich w tajnej prasie dotkliwie: Pani Kowalska aż płakała. Czasem jest im tak smutno i ciężko, tak pragnęliby bodaj na godzinę zapomnieć, że w mieszkaniu głodno i ciemno, że wczoraj rozstrzelano syna sąsiadki, że bratowa dostała wiadomość o śmierci ojca w Oświęcimiu, że idą do kina. Bardzo miła przyjemność. Stojąc w ogonku przed kasą drżą, że aż nadto znane andrusiaki Walki Cywilnej obleją im ubrania żrącym kwasem, jak się to wczoraj zdarzyło Pawłowskiej z naprzeciwka. Jedynie ubranie. Film jest skardnie głupi, niedbale skłcony, źle grany. Dodatek tygodniowy opiewa zwycięstwa niemieckie. W drodze powrotnej niewidzialna ręka przycepiła Kowalskim na plecach kartkę: tylko świnie siedzą w kinie... co za wstyd...

*) Oczywiście, autorka, przebywająca na emigracji w Londynie nie jest za to wznowienie w najmniejszej mierze odpowiedzialna. (przyp. red.).

Jedyną pociechą, jaką pozostaje Kowalskim, są wróżby i przepowiednie, orzeczenia nowego jasnowidza, kabalarza z ul. Dolnej. Obok wróżb wielkim wzięciem cieszą się wiadomości kołportowane drogą ustną. Komunikaty radiowe brzmią zawsze sensacyjnie, optymistycznie. W porównaniu z nimi autentyczne komunikaty radiowe brzmią tak ponuro, że Kowalscy niechętnie biorą je do ręki.

3) I nareszcie ostatnia Warszawa, właściciel, podziemna, heroiczna, walcząca. Jak grzyb- nia przerasta drzewa korę od góry do dołu, sięga wszędzie, wszechobecna a niewidzialna, wszystkowiedząca a nieuchwytna, łącząca wszystkie walczące elementy misternie powiązaną siecią. W tym świecie podziemnym znajdziesz wszystkie typy ludzkie: bohaterów, męczenników, świętych, doktrynerów, fanatyków, karierowiczów, partyjników, ambicjuszów, ideowców, materialistów i żądnych „wyżycia się” Kmiciców. Wszyscy posiadają jedną cechę wspólną: odwagę. Bez tej zalety, można wejść do świata konspiracyjnego, ale w nim nie można wytrzymać. Śmierć chodzi z tymi ludźmi jako kuma nieodłączna. Niema dnia, by kilku z nich nie uchyło. Pomimo to są pogodni. Tylko ten nie boi się śmierci, kto z myślą o niej zdołał się żyć i oświcił. Zresztą za trudy i niebezpieczeństwa otrzymują hojną nagrodę: są wolni. Nie znają upokorzenia. Ani na chwilę nie kapitulowali wewnętrznie przed wrogiem. Nie zależą od nikogo, nie potrzebują zabiegać o względy i przyjaźń żadnych protektorów. Są żołnierzami na froncie obarczonymi jedną troską: należyte wykonanie zleconego zadania.

Ten świat konspiracyjny odzwierciedla całokształt życia państwowego i społecznego, posiadający wszystkie placówki, urzędy, posiada również bogate życie kulturalne. Zaczynają przeglad jego od literatury.

Mówiąc o literatach, myśli się, rzecz prosta, wyłącznie o nierejestrowanych. Rejestrowane nieboraki należą do świata Kowalskich. Nie liczą się. Co do nierejestrowanych, dzieła cygańskie, bezimienne życie niepodległościowców (dziś tu, jutro tam), głodują więcej niż przeciętnie, gdyż zawód nie zostawia im czasu na pracę zarobkową. Jako pisarze rozpadać się na dwie grupy: tych, którzy w ukryciu piszą wielkie, piękne rzeczy, mające ukazać się nazajutrz po odzyskaniu wolności — oraz tych, którzy zdzierają swój talent, redagując tajną prasę, zasilającą tajną prasę, pisząc niezliczone ulotki, broszury. Jedni i drudzy są potrzebni. Potomność oceni wdzięczniej pierwszych. Doraźna sympatia społeczeństwa idzie ku drugim.

Tajna prasa jest bogata i różnorodna. Można mówić o inflacji pism. W samej Warszawie wychodzi około stu periodyków. Większość z nich nie posiada ciężaru gatunkowego. Wybitniejsze służą przede wszystkim sprawom politycznym, nie brak jednak takich, które zajmują się równocześnie kwietami kulturalnymi. Naogół są chciwie czytane. Wywołują polemiki i długotrwałe echa. Co pewien czas ukazują się „miesięczniki literackie” poświęcone wyłącznie sprawom literackim. Parokrotnie ukazały się tomiki poezji wojennych. Publiczność je rozchwytała, choć poziom był raczej słaby.

Artyści i artyści dramatyczni, których wolna Warszawa poniesie na rękach, obypie kwiatami, nie występują nigdzie od trzech lat. Siedzą w więzieniu lub kelneryjku po kawiarniach. Niektórzy pracują twórczo, przygotowując nowe sztuki na jutro, szkółkę trupy objazdowe przeznaczone na teren Prus Wschodnich lub Śląska, gotując wielkie powojenne odrodzenie teatru polskiego. Czasem zdarzy się tajna impreza sceniczna. Pozostawia wtedy niezapomniane wrażenie. Jak było z akademią 11 listopada 1941 r., z Jasełkami granymi w styczniu b.r. Tekst aktualny. Na scenie pełno, autentyczne mundury polskich lotników, piechurów, artylerzystów, ułanów...

Ciężko jest nie słyszeć latami dobrej muzyki. Nieliczne kawiarnie z wartościowym repertuarem, uważane za dozwolone porządnym ludziom, są stale przepełnione. Bardzo trudno zdobyć w nich miejsce. Na szczęście działają wzorowo koncerty domowe, dawane w mieszkaniach prywatnych, przy współudziale wybitniejszych muzyków, oczywiście wstęp na nie mają tylko zakonspirowani. Najbardziej są plastycy. Ich sztuka narazie jest niepotrzebna nikomu. Nikt się nimi nie opiekuje. Szkice obrazów, projekty posągów, pomniki przyszłej chwały, rodzą się i giną bez możliwości realizacji, ba, bez możliwości utrwalenia niejednokrotnie doskonałego pomysłu. Brak artystyczna, nieprzygotowana do życia, wymiera z grzązli i w głoźnie.

Żadna wyższa uczelnia w Warszawie nie istnieje, młodzież nie ma prawa do nauki, pomimo to egzamina maturalne i uniwersyteckie odbywały się nieomal normalnie. W tramwajach trzeba było często psyka ostrzegawczą na rozgadana młodzież, dzielącą się wrażeniami egzaminowymi. Mimo surowego zakazu gromadzenia więcej niż 10 osób w mieszkaniu, odbywały się odczyty, wieczory dyskusyjne, zebrania prasowe i inne. Poziom ich wysoki, wyższy niż przed wojną. Co posiada cenę życia, nie może być wodą. Życie umysłowe pogłębiło się u nas, naogół rozrosło. Tam gdzie przed wojną grano w bridge'a lub plotkowno, dziś dyskutuje się sprawy zasadnicze, np. czy godzi się katolikowi przyjmować truciźnę, w obawie by na mękach nie wydał towarzyszy, czy nie... O nurcie odrodzenia religijnego, przenikającego życie Polski, o wizji wielkiego jutra...

Maria Petry

Już wystrzał Ramadanu sennie domy ruszył i rzucił wieżom nieba pożegnalne „sałami”, aż drgnął zbudzony Allah i w palcach rozkruszył różaniec zmięszchu w święte miasto Jeruzalem.

I zaraz noc, tancerka murów i wykuszy, na ręce mężczyzn jęła zrzucać ciemne szale i ramionami ulic tańczyć i niedbale wabić lampami uciech, brzękadłem perkusyj.

Ramadan, o Ramadan! Dzień postu skończony. Gwar wylewa się z kawiarni. Abdel-Wachab śpiewa stugardem mikrofonów arabskie miłości;

ZAGADNIENIA GOSPODARCZE

W okresie ostatniego kryzysu gospodarczego ekonomiści mieli na świecie złą opinię. Nawet w kraju wielkich tradycji gospodarczych, jak Anglia, hasło „beware of economists” znajdowało chętnych posłuch. Ekonomistom przypisywano różne przewinienia, które doprowadziły do kryzysu. Skarżono się powszechnie na beznadziejność ekonomistów i polityków gospodarczych wobec kataklizmu gospodarczego, który objął świat cały.

W niektórych krajach wyprowadzono z tej beznadziejności ekonomistów wnioski dość uproszczone: różne funkcje związane z życiem gospodarczym powierzono osobom nie mającym dotychczas nic wspólnego z nimi. W Polsce szczególnie szeroko zastosowano tę zasadę, zgodnie zresztą z tradycją, wyrażoną w przysłowiu, że „nie święci garniki lepią”. Specjalnie chętnie „odkomenderowywano” do spraw „gospodarczych” wojskowych, których elastyczność umysłowa nie zawsze szła w parze z rozwojem nowoczesnej sztuki wojennej. W rezultacie dziedzina spraw gospodarczych, zwłaszcza zaś państwowa polityka gospodarcza przedstawiała w ciągu szeregu lat obraz nie kończącego się nigdy seminarium. Ciągłe jakieś wysoko postawione osobistości dokształcały się w dziedzinie związków przyczynowych, istniejących pomiędzy podstawowymi zjawiskami ekonomicznymi. Liczba osób, uważających się za ekonomistów rosła z roku na rok. Czytając listy lokatorów domów warszawskich spotykało się określenie zawodu „ekonomista” prawie tak często jak „z własnych funduszków”. Nie było żadnych ustaw, przepisów, czy nawet norm zwyczajowych, które pozwoliłyby na określenie, kto ma prawo uważać się za ekonomistę.

Profesor Henryk Tennenbaum jest naprawdę ekonomistą. Każda jego książka jest ważnym wydarzeniem w życiu umysłowym Polski. Składa się na to wiele przyczyn. Po pierwsze: prof. Tennenbaum ma oprócz rozległej wiedzy ekonomicznej wielki dar obserwacji zjawisk i ciekawej ich klasyfikacji. Po drugie: umie on zamknąć w pracach swych tyle oryginalnych i twórczych myśli, że stają się one dla każdego uważnego czytelnika niewyczerpanym źródłem rozważań i refleksji. W każdej niemal większej pracy prof. Tennenbauma treść rozsada formę. Dotyczy to również ostatniej jego pracy o „Europie Środkowo-Wschodniej w gospodarstwie światowym.”*)

W książce tej niektóre problemy poruszane są w wielkich skrótach, w których każde zdanie ma wagę syntezy. Inne znowu zagadnienia, luźniej z samym tematem związane, są omawiane znacznie obszerniej. Autor pisze tak, jakby chciał z góry odpowiedzieć na ewentualną dyskusję na temat wysuniętych przez niego tez. Dlatego stwierdzeń, które wydają mu się bardzo oczywiste i proste, nie rozwija w jakiejś szerszej argumentacji. Natomiast szczegółowo opisuje mechanizm działania niektórych zjawisk gospodarczych, które dla jego tezy zasadniczych są mniej ważne, które natomiast mogą się wydać czytelnikowi mniej zrozumiałe.

Zasadniczą tezę autora jest wykazanie potrzeby istnienia grupy państw między Niemcami a Rosją. Stworzenie silnej strefy Europy Środkowo-Wschodniej, którą autor rozszerza na Bliski Wschód i określa literami B.B.B. (Bałtyk-Bosfor-Bagdad) jest wskazane przede wszystkim ze względów politycznych. Anglia, której po tej wojnie przypadać winna rola kierowniczej mocarstwa europejskiego, posiada zbyt wąską podstawę terytorialną na swej wyspie. Anglia powinna mieć swą podstawę lądową w Europie. Anglia nie powinna dopuścić do tego, by jakieś mocarstwo zjednoczyło kontynent europejski, gdyż takie zjednoczenie może obrócić się tylko przeciwko niej. Rolą Anglii jest dbanie o równowagę sił w Europie. Autor widzi możliwość utrzymania tej równowagi przez podział Europy na trzy strefy. Jedną z nich stanowią państwa leżące nad brzegiem Atlantyku, drugą — Niemcy i Włochy, trzecią — zespół państw Europy Środkowo-Wschodniej, obejmujący Polskę, Litwę, Czechosłowację, Węgry, państwa bałkańskie, a następnie Turcję i państwa Bliskiego Wschodu aż do Indji.

Jak pisze prof. Tennenbaum, „państwa leżące w tej strefie mają ambicje terytorialne głównie tylko wewnątrz tej terenu; są to w gruncie rzeczy wewnętrzne, aczkolwiek bardzo ostre spory; Niemcy, Rosja i Włochy podsycały je w ciągu ostatniego dwudziestolecia, czemu sprzyjało désinterressement Anglii i stopniowe, w znacznej mierze pod wpływem angielskim, polityczne wycofanie się Francji z tego terenu. Bez większej trudności można stwierdzić, że spory między państwami na tym terenie rosły i potęgowały się w miarę politycznego wycofywania się stamtąd państw zachodnich” (str. 124). Autor zwraca dalej uwagę na fakt, że „trudność zbliżenia się politycznego pomiędzy tymi krajami polega na tym, że jedne z nich obawiały się więcej Rosji niż Niemiec, inne więcej Niemiec niż Rosji; jedne mają skłonność do oparcia się na Rosji przeciwko Niemcom, inne na Niemcach przeciwko Rosji. Gdyby jednak te kraje miały oparcie polityczne poza Rosją i poza Niemcami, tendencja do opierania się bądź na Rosji, bądź na Niemcach zupełnie by ustała” (str. 125). Tego poparcia nie mogły znaleźć długo w krajach zachodnich. Jak przypomina prof. Tennenbaum, angielski minister spraw zagranicznych Austin Chamberlain w piśmie z dn. 16 lutego 1925 r. pisze

*) Henryk Tennenbaum. Europa środkowo-wschodnia w gospodarstwie światowym, Londyn, Kolin, 1942.

do ambasadora brytyjskiego w Paryżu, że „dla obrony „korytarza polskiego” żaden rząd brytyjski nie będzie ryzykował kości brytyjskiego „grenadiera” — a tymczasem sytuacja międzynarodowa rozwinięła się w ten sposób, że „w czternaście lat potem brat Austina Chamberlaina udzielił Polsce gwarancji przeciwko napaści niemieckiej właśnie z powodu „korytarza polskiego”. A więc „ważne jest, aby Anglia i Stany Zjednoczone trafnie oceniły znaczenie polityczne leżące w Europie środkowo-wschodniej zespołu państw; zespół ten był dotychczas terenem ekspansji niemieckiej i rosyjskiej” (str. 163). Autor podkreśla, że „niektórzy politycy angielscy uważają, że Anglia musi się pogodzić z hegemonią rosyjską w Europie środkowo-wschodniej; zapewne nie mają oni na myśli, aby wpływy rosyjskie miały objąć całą Europę środkowo-wschodnią i dotrzeć do granicy Niemiec, chodzi im tylko o „sprawiedliwe” okrojenie Polski i Rumunii; wydaje się, że rzecznicy takiej polityki nie przemyśleli zagadnienia do końca. Uszczuplenie terytorialne krajów granicznych z Rosją poważnie je osłabi; osłabienie ich musi pociągnąć osłabienie innych państw, leżących na terenie Europy środkowo-wschodniej; wtedy dopiero powstanie alternatywa oparcia się bądź na Rosji, bądź na Niemcach, gdyż po osłabieniu Polski nie będą one miały danych na przeciwstawianie się wpływom wielkich sąsiadów” (str. 130). „Jeżeli pas państw w Europie środkowo-wschodniej nie będzie dostatecznie szeroki od zachodu do wschodu, musi na nim powstać sfera wpływów rosyjskich i sfera wpływów niemieckich” (str. 131). Prof. Tennenbaum cytując zdanie czasopisma „The Economist”, które (w numerze z dn. 16 sierpnia 1941 r.) wskazuje, ile Anglia może zyskać na wzmocnieniu państw w Europie środkowo-wschodniej, a „ile stracić na uprzedzeniu izolacji”. „Wypadki w tej części Europy doprowadziły do pierwszej i drugiej wojny światowej” (str. 131).

Prof. Tennenbaum jest zwolennikiem zachowania odrębności polityczno-gospodarczej poszczególnych krajów Europy środkowo-wschodniej, złączonych w jeden obszar strategiczno-polityczny.

Komasacja gospodarcza — zdaniem autora — nie jest środkiem na niedomaganie krajów leżących na omawianym obszarze. Prof. Tennenbaum wskazuje na szereg uproszczeń, które popelnia się proponując tworzenie wielkiego obszaru gospodarczego. Głównym zadaniem gospodarki planowej jest podejmowanie przez państwo szeregu inwestycji ryzykownych, czy też z punktu widzenia rentowności prywatno-gospodarczych — chybionych. Przy podejmowaniu tego rodzaju inwestycji powstaje często wewnątrz jednolitego, narodowego państwa spór między dzielnicami, czy poszczególnymi grupami ludności. W obszarze złożonym z kilku państw ustalenie właściwej hierarchii celów w sprawach polityki gospodarczej byłoby jeszcze trudniejsze, mogłoby łatwo odbić się na spoiłości politycznej danego obszaru. Dotyczy to również projektów unii celnej. Ustalenie wspólnej polityki celnej byłoby bardzo trudne, wobec różnych poziomów życia w poszczególnych państwach i różnych zadań, które polityka gospodarcza danego państwa stawiałaby przed sobą np. w dziedzinie przemysłowienia. Prof. Tennenbaum widzi rozwiązanie w systemie preferencyjno-celnym, który połączyłby państwa Europy środkowo-wschodniej. Na system taki mogłoby się zgodzić inne państwa, przede wszystkim Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. Dowodem tego jest układ zawarty między Stanami Zjednoczonymi a Czechosłowacją w roku 1938, który uznawał istnienie systemu preferencyjno-celnego wewnątrz obszaru nadnaddunajskiego. Autor zaznacza, że „zbliżenie gospodarcze pomiędzy krajami Europy środkowo-wschodniej da się osiągnąć powoli; oprócz uprzywilejowań celnych ważnym środkiem będzie udzielanie sobie kontyngentów przywozowych” (str. 154). Dla państw tego obszaru „najważniejszą sprawą jest uzgodnienie polityki gospodarczej wobec dwóch wielkich sąsiadów, t.j. Niemiec i Rosji” (str. 155). Natomiast prof. Tennenbaum „nie widzi poważniejszych korzyści z utworzenia unii celnej pomiędzy krajami Europy środkowej i wschodniej” (str. 151). Autor występuje przeciwko wielu uproszczeniom i prymitywizmom myślenia: „politycy, znajdujący się w nastroju uroczystym pod wpływem przeżywanego kataklizmu dziejowego, sądzą, że należy nareszcie zacząć myśleć kategoriami wielkiej skali. Należy zauważyć, że polityka jest sztuką realizowania zamierzeń; ta sztuka wymaga rachunku; im rachunek jest ściślejszy, tym bardziej musi być dokładny i drobniawczy; przy drobniawczym rachunku trzeba uwzględnić sprawy pozornie drobne” (str. 139).

W książce swej, zwłaszcza w rozdziałach o „rentowności jako zjawisku instytucyjnym”, o „polityce planowej w dziedzinie produkcji i zbytu”, wreszcie w wielkim rozdziale o „polityce kredytowej” — autor porusza całe bogactwo różnych spraw „pozornie drobnych”. W rozdziałach tych prof. Tennenbaum omawia szereg problemów, wychodzących znacznie poza ramy właściwego tematu jego pracy. Jest tam dużo sprzecznych oryginalnych i trafnych, które zmuszają do rewizji wielu istniejących uproszczeń myślowych.

Szczególnie cenną stroną pracy prof. Tennenbauma jest wyraźne podkreślenie prymatu spraw politycznych czy strategicznych nad sprawami gospodarczymi. W okresie, gdy w szeregu głów roją się różne pomysły przyszłej konstrukcji Europy środkowo-wschodniej, według prostego dodawania różnych istniejących w poszczególnych krajach bogactw naturalnych, tego rodzaju stanowisko tak wybitnego ekonomisty jak prof. Tennenbaum jest godne specjalnego podkreślenia. Jak pisze on wyraźnie, „należy oczekiwać, że po zwycięskim zakończeniu obecnej wojny uznany będzie prymat człowieka i narodów we własnych siedziach” (str. 163). Nowoczesne środki techniczne ułatwiają dowóz surowców i maszyn do skrajnie ludzkich. Względem gospodarcze podporządkowane będą motywow politycznym.

Zrozumienie tego stanu rzeczy daje odpowiedź, dlaczego ekonomiści nie znaleźli sposobów na kryzys gospodarczy lat 1929-1933. Nie można od nich również wymagać, by konstruowali przyszły porządek rzeczy w Europie, jeśli nie dostaną jasno i wyraźnie zakreślonych ram dla swej działalności.

Książka prof. Tennenbauma daje dużo do myślenia na różne tematy. Jest to jedna z nielicznych, wydanych w czasie wojny obecnej prac w języku polskim, gdzie myśl autora biegnie naprzód torując wysiłkiem twórczym drogę dla praktycznych realizacji, które staną przed nami w chwili — gdy znowu pokój zapanuje na ziemi.

Bohdan Łęchowski

RAMADAN

stary Achmet, syt wrzawy, mokki, ciepła, ziewań, mruczy sennie w dym nargil werset uprzykrzony:

„Allah, Ramadan! Ale — czy pora wolności?!”

*) Ramadan — 9-ty miesiąc roku, okres świąt muzułmańskich, w czasie których od wschodu do zachodu słońca obowiązuje ścisły post i wstrzymanie się od wszelkich uciech. Noc jest wolna od tego zakazu. Wystrzał armatni o zachodzie słońca oznacza koniec całodziennego postu.

Jeruzolima — jest obok Mekki i Medyny trzecim, świętym miastem Islamu. Abdel-Wachab — współcześnie żyjący, arabski śpiewak z Kairu.

KAGANIEC URZĘDU OŚWIATY

Patrzmy na przeszłość przez pryzmat tęsknoty. Roztłaczmy się nad każdym szczegółem niedawnego okresu. Nie dziwne, że idealizujemy przesadnie rzeczy widziane kilka lat temu. Sentymentalizm bierze górę. Już nie tylko brzoza, świerk, zaulek, ale i ludzie, którzy wydawali się nam jeszcze kilka lat temu wstrętni, nieznosni, zyskują w świetle wspomnień na tle tęsknoty. W tej mgie zyskuje nawet régime, który odszedł. Nie ma w tym nic z romantyki. Jest to czułość, wóś.

Nie mieliśmy możliwości wyrwania się ze szponów tęsknoty, nawet w okresie dwudziestoletniego istnienia państwa polskiego. Dopiero w ostatnich latach w miarę krepnięcia państwa przeszłość historyczna ulegała stopniowej rewizji. Odbiwał się proces odbronnowania, rewizja bohaterów. Teraz znowu historia staje się pokrzepicielką serc i nawet najnowocześniejsza historia zostaje z biegiem czasu przyobleczona w złote malowidła. Długo jeszcze trwać będzie, nim wyzwolimy się z czułościowości, z sentymentalnego oglądania najbliższej przeszłości. Teraz napelniają tęsknotą nie tylko pachnące świeżo lipe, nawet dzieciństwo wcale nie sielskie i nie anielskie zyskuje na zestawieniu z teraźniejszością.

Wszystko wzrusza. Nawet podręcznik, który się nagle okazuje daleko od Polski. Budzi wspomnienia, wywołuje rozpamiętywanie, przypomina całą historię, szkolnictwo, nauczanie z ostatnich kilkudziesięciu lat.

Pierwszy podręcznik, a już przed oczyma staje księgarnia w Warszawie. W trzech dzielnicach znajdowały się sklepy z książkami: na placu Krasińskich, na Chłodnej, na Świętokrzyskiej. Górowała Świętokrzyska. Kilkadziesiąt sklepów pod rząd. Kilku Kleiningerów, kilku Molerów, kilku Wichlów, a pośrodku dumna księgarnia Fiszlara, która się nie zajmowała ani sprzedawaniem, ani kupowaniem podręczników. Do starczyła książki dla amatorów, szperaczy, nie liczyła się z sezonem, nie było tam tłoku w końcu sierpnia, nie spławiano „knyk” w końcu lipca.

Do roku 1905 handel sędzi przeważnie podręcznikami rosyjskimi. Z podręczników polskich sprzedawano jedynie „ABC” Jeskego, naukę czytania i pisanie, „Teorię poezji i prozy” Gallego, reszta to były „zadaczniki” Wierieszczagina lub Jeftuszewskiego, historia Iłowajskiego, względnie Platonowa lub nawet Iwanowa.

Cudny był podręcznik arytmetyki Wierieszczagina. Zadania trudne, złożone, — dziesięcioletni chłopak nie mógł w żaden sposób zgadnąć, o co chodzi. Do pomocy był więc klucz do „zadacznika”. Uczono krętaćką już od dzieciństwa: „Kupiec kupił wino, zmieszał z wodą, sprzedał. Ile zarobił?” Odrzucono mieszanie wina z wodą. Najgorzej jednak było z pociągami, które się spotykały po drodze, z zadaniem, gdzie „ktos kupił” (po rosyjsku: „niektó”), o tego kłosa rozbiła się możliwość rozwiązania zadania.

Nie można nigdy było kupić używanej książki Wierieszczagina. Co rok nowe wydanie z przestawianiem numerów zadań.

Ożywienie w księgarni panowało jedynie trzy — cztery tygodnie. Później księgarze stali zwykłe przed sklepem, oczekując na chłopaka, który wybył się książki jeszcze nawet przed zakończeniem roku szkolnego. Pieniądze przydawały się na kalkulację, na pierwszy błoskop, iluzję.

Do księgarni zaglądali wówczas inni zupełnie klienci, ci od książek, nie od podręczników, od pisarzy, literatów, rozpraw naukowych, od Mickiewicza w nielegalnym wydaniu, od „Dziadów” pełnych a nie konfiskowanych, od specjalnego wydania podejrzanych ustępów „Pana Tadeusza” z mrówkami, Dekameron z ilustracjami. Kupowano zbiorki z „Biblioteki Dziel Wyborowych”, zbiory utworów Mickiewicza lub Słowackiego. Oczywiście, wszystko używane. Nikt nie kupował książek nowych w tej dzielnicy.

Po nowe książki udawano się zwykle do Gebethnera & Wolfa (ale nie do tego Gebethnera na Sienkiewicza, lecz tylko na Krakowskim Przedmieściu), do Arcta na Nowym Świecie, do Wendego.

Później przybyły podręczniki polskie. Było to po roku 1906. Było ich coraz więcej, aż w r. 1910 zredukowano ilość podręczników. Historia i geografia były wykładane znowu po rosyjsku. Wprawdzie Iłowajski ustąpił miejsca Platonowowi, ale i ten nie obdłagał od wszystkich „kazonnych” książek. Były tam bunt, powstania, nigdy Rosja nie przegrywała wojny w takich podręcznikach. Zawsze zwyciężała. Tylko dziwne, że nowe podręczniki, wydawane obecnie w tym samym kraju, przypominają tak złudnie Platonowa i Iłowajskiego.

Wreszcie nowy okres — powstanie państwa polskiego. Nad podręcznikiem roztacza opiekę Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Nowe kłopoty i nowe kłeski. Z biegiem czasu powstaje komitet, przypominający nieco „uczone komitety” dla popierania podręczników Wierieszczagina i Platonowa, fizyki Krajewicza i t.p.

Rodziny zasiadają w komitecie i popierają się nawzajem. Największym wzięciem cieszą się książki ludzi zasiadających w komitecie. Żeby był najlepszy podręcznik, najdoskonalsza książka, najwięcej łopatology, popularna, nie przejdzie przez ucho igielne komitetu. Swoi czekają w kolejce.

Żadna walka nie pomogła. Były gramatyki, które szły, fizyki, które popierano, algebry, które cieszyły się powodzeniem, i inne podręczniki, które latami czekały na łaskawe uznanie. Tam „Nauka o Polsce” była nie koszerna, wiadomości nie były podane w reżymowym sosie, najczęściej zaś autor nie był kuzynem członka komitetu.

Kiedyś wystąpił ostro przeciwko komitetowi minister oświaty Stanisław Grabski. Skrytykował autora gramatyki, dowodził, że podręcznik jest dla dziesięcioletniego dziecka raczej teorią poznania. Wygrał autor, przegrał minister.

W rok później podczas rekonstrukcji gabinetu, późno w nocy Stanisław Grabski oświadczył dziennikarzowi: „Chcę zostać ministrem oświaty w jednym celu. Muszę się rozprawić z komitetem, skończyć z monopolem podręczników”. Nie udało się.

W kilka lat później minister oświaty świtałski pomyślał sobie, że komitet to tłum demonstrantów na Placu Teatralnym. Można łatwo rozpedzić. Kazał sobie przysłać podręczniki. Przysłało kilka furmanek. Nie bardzo pracowity minister przeraził się. Spojrzał, splunął i dał spokój. Zwyzyli.

Ileż trzeba było użyć wysiłku, by skończyć z arystokratycznym nawykiem nie umieszczania cen na książkach, szczególnie na podręcznikach. Nigdy

nie można było się dowiedzieć podczas imienin, ile tatuś albo krewny zapłacił za książkę. Wydawcy byli bardzo dyskretni. Gdy uczeń kupował bez tatusia, mógł zarobić 10—20 groszy. Dopiero później wprowadzono zasadę wskazywania cen na podręcznikach.

Przyszła wielka rewolucja z pisownią. Wszystkie książki należałyby właściwie spalić, przepisać, dostosować do nowej pisowni. Dla wydawców raj. Buntowano się przeciwko nowej pisowni, sprzeciwiano się, ale szkoła musiała ulec nakazowi. Miano więc manię do manili.

Dziś nie siedzą żadne komitety za podręcznikami. Nie ma autorów, którzyby je popierali. Nie ma na okładce nazwiska wydawcy, a na boku pieczęć księgarni.

Książki ukazały się na zlecenie Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych. Nie dotrą one do księgarni na Świętokrzyskiej, na Chłodnej lub na Placu Krasińskich.

Pisano podręczniki parami. Zawsze kobieta z kobietą. Czyta się więc „Wiadomości z Geografii” Michałowskiej i Domaniewskiej. Nie są one obójne nawet dla ludzi starszych. Jak gdyby nie, czyta się spokojnie opis o Niemcach: „Niemcy północne są wielką niziną. Niemcy południowe dzielą się na pas górski... Stolicą Niemiec jest Berlin”. Nie można dopisywać żadnych uwag o Niemcach. Podręczniki zachowują klasyczny spokój, choć chciałyby się dopisać „zboje”, a do Berlina dodać uwagę, że za mało bombardowany.

„Ćwiczenia w pisowni polskiej” Juliana Sweda. Ten szybko się zorientował, najprędzej wydał podręcznik z nową pisownią, tak jak się wydaje szybko komentarze do nowego kodeksu karnego. Gdyby nie było wojny, książka miałaby ogromny nakład. Komitet by zatwierdził. A teraz gdy ogłasza się podręcznik, wzruszają wspomnienia homeryckich walk o nową pisownię.

„Historia dla V-jej klasy” Gebertowej. Był to murewany podręcznik. Żadna konkurencja nie mogła go obalić. Teraz na podręcznik widnieje napis: Jerolim. Ktożby uwerzył?

Druga para kobiet — Moszczeńska i Mrozowska napisały „Podręcznik do nauki historii na II-ą klasę gimnazjalną”. Najtrudniejsze to ta chronologia. Trudno wepchnąć do głowy, pamiętać. Ale kto miał głowę do numerów telefonicznych, ten pamiętał nawet datę urodzin Kazimierza Jagiełły, Łaskonogich, Rudobrodych, Kędzierzawych lub innych maści i oznak szczególnych. Tu cyfry chronologiczne są specjalnie uwidoczniane, ażeby można było naleyście włożyć je do głowy. Linia i to się ułotni, cyfra ujdzie cało. Choćby obudzić w nocy, musi uczeń pamiętać. Książka delikatna, ostrożna, dyskretna. Wszystko uczyniono, ażeby nie obrazić nikogo. Przy Kazimierzu Wielkim ani słowa o Żydach. Ażeby się nie narazić.

Jest łacina: „Disce latine”. Heine napisał, że gdyby Rzymianie musieli uczyć się łaciny, nie zdążyliby zdobyć pół świata. Ale łacina to jest pożyteczna nauka. Uczy stosowania protekcji. Ma bowiem przy każdej regule wyjątek.

Uczni, nauczyciele podnieśli ostatnio do rangi profesorów, mogli by pewnie powiedzieć wiele na temat tych podręczników, zastrzeż się, zakwestionować tego lub innego autora. Ale kto ogląda te wszystkie podręczniki oczyma tęsknoty, dla tego nawet „Przyroda martwa” Jerzego Abrysowskiego nie jest podręcznikiem martwym. Przypomina wiele, wzrusza. Rozgrzesza z wielu win, a tym bardziej z usterek, mimowolnych błędów, lub czasem nawet malpich figlów.

Podręczniki te mogą się przydać nie tylko junałom, uczniom, ale może i starszym. Tak w wolnych godzinach zamiast obgadywać bliźnich, warto byłoby przerabiać ćwiczenia z gramatyki języka polskiego i odzwyczajając się od kongresu słów pięknych, które zebrane w kupę zaciemniają jedynie treść.

Wzruszają podręczniki dawne, ale nie mniej wzruszająca jest okoliczność, że gdzieś daleko w Jerolimie przedrukowano, że Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych, abstrakcyjna naogół instytucja, przyszedł z kaganiec oświaty, że zapachniało Polską, podręcznikami. Kto wie czy nie z Jerolimy trzeba będzie przynosić do podręczniki do Polski natychmiast po ukończeniu wojny, czy nie są to uratowane książki wśród ogólnej pożogi. W Jerolimie odbywa się ocenie resztek kultury. Z Biblioteki Uniwersyteckiej wydobywa się książki, by znowu przepisywać, wydawać. Jest to tylko fragment, wzruszająca historia o kaganie oświaty, ale nie bez znaczenia, nie bez okazji do rozmyślań i wniosków.

I. Rzeczyki

Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych wydał dotychczas w Jerolimie następujące podręczniki: Jerzy Abrysowski. Przyroda martwa. Podręcznik dla V klasy szkół powszechnych. Jerolim, 1942, str. 111.

M. Auerbach i K. Dąbrowski. Disce latine. Pars I. Jerolim, 1942, str. 87.

M. Auerbach i K. Dąbrowski. Disce latine. Podręcznik do nauki łaciny dla II klasy gimnazjalnej. Jerolim, 1942, str. 148.

B. Dyakowski. Początkowa nauka o przyrodzie dla oddziału III-go szkół powszechnych z 52 rycinami. Jerolim, 1942, str. 148.

Bohdan Dyakowski. Przyroda żywa dla klasy V szkół powszechnych. Jerolim, 1942, str. 128.

G. Gebertowa. Historia dla V-jej klasy szkół powszechnych. Jerolim, 1943, str. 240.

Zenon Klemensiewicz. Język polski. Ćwiczenia i pogadanki gramatyczne dla I klasy gimnazjalnej. Jerolim, 1942, str. 63.

St. Malec i W. Werner. Fizyka dla III klasy gimnazjalnej. Jerolim, 1942, str. 184.

Jerzy Miłulowicz. Algebra dla III klasy gimnazjalnej. Jerolim, 1943, str. 96.

W. Moszczeńska i H. Mrozowska. Podręcznik do nauki historii na drugą klasę gimnazjalną. Jerolim, 1943, str. 284.

A. M. Rusiecki i A. Zarzecki. Arytmetyka z geometrią. Podręcznik dla uczniów szkoły powszechnej stopnia II i III. Klasa IV. Jerolim, 1942, str. 134.

Tadeusz Muł i Jan Radomski. Botanika. Podręcznik do nauki biologii dla II klasy gimnazjalnej. Jerolim, 1942, str. 166.

Julian Swed. Ćwiczenia w pisowni polskiej. Jerolim, 1943, str. 191.

Kronika Bliskiego Wschodu

JEDNOŚĆ ŚWIATA ARABSKIEGO

Podnoszenie sprawy zjednoczenia świata arabskiego należy do codziennych zjawisk w życiu arabskim. Przy ład okazji każdy z arabskich meżów stanu, polityków, dziennikarzy i t.p. wypowiada skramentálną formułę o duchowej jedności arabskiego świata oraz o dążeniu ludów arabskich do zjednoczenia politycznego. Odbity w okresie Nowego Roku zjazd lekarzy arabskich, obeszany przez Palestynę, Irak, Syrię i Transjordanję, również podkreślił, iż fakt odbycia między-narodowego kongresu lekarskiego wzmacnia idee zjednoczenia i solidarności ludów arabskich. Nieco później, na początku stycznia b.r., przebywający przejazdem w Ammanie, stolicy Transjordanji, premier Iraku, Nuri Pasza es Said, oświadczył, że rząd i lud jego kraju oczekują spełnienia się hasła jedności arabskiej, podkreślając, że na ołtarzu służenia temu ideałowi żaden wysiłek nie będzie oszczędzony. Karta Atlantyczna, zdaniem premiera, czyni zjednoczenie narodów arabskich życzeniem realnym.

Minister Eden w parlamencie brytyjskim na początku marca b.r. ujawnił pozytywny stosunek Wielkiej Brytanii do idei arabskiej federacji w dziedzinie kulturalnej, ekonomicznej i politycznej, podkreślając, że inicjatywa ma być podjęta przez samych Arabów. Podnieciło to prasę arabską w kierunku żądań stworzenia politycznej reprezentacji Arabów palestyńskich oraz stałej reprezentacji arabskiego świata. Ta ostatnia inicjatywa pochodzi z Egiptu.

Interpretując wystąpienie min. Edena, Emir Transjordanji Abdullah w wywiadzie, udzielonym Arabskiej Agencji Informacyjnej, podkreślił niepokojące zjawisko podniecenia panującego w arabskim świecie w związku z planami federacyjnymi, dodając, że wcielenie w życie idei federacyjnej może nastąpić dopiero po ukończeniu wojny.

Ile politycznego realizmu kryje się za ideą zjednoczenia Arabów? Egipt patrzy na federację jak na okazję odegrania roli przywódcy świata muzułmańsko-arabskiego. Różnice gospodarcze i poziomów kulturalnych pomiędzy poszczególnymi krajami arabskimi są poważne. Istnieje również linie podziału duchowego pomiędzy wahaibitami, sunnitami i południowo-irackimi szytami. Nie należy więc uważać za przesadną opinię, że państwowe zjednoczenie krajów arabskich nie jest łatwe do wcielenia w życie. Przyjaźnijmy narazie. Natomiast realne jest zbliżenie kulturalne, o którym mówił poseł egipski w Bagdadzie podczas inauguracji „drugiego okresu” kulturalnej współpracy egipsko-irackiej. Przemawiając na tej uroczystości, poseł oświadczył, iż wszystkie ludy arabskie okazują skłonność do przystąpienia do wspólnej wielkiej kulturalnej unii arabskiej.

U.S.A. I M.E.

Od dłuższego czasu środkowy Wschód stał się poważnym przedmiotem zainteresowań ze strony Stanów Zjednoczonych. George Bitar, bejrucki korespondent „Palestine Post” w artykule „Middle East Granary” (z dn. 11.1.43) napisał o wynikach badań amerykańskiego eksperta rolnego prof. Morgana, który po zwiedzeniu Libanu, Syrii, Palestyny, Transjordanji i Iraku zawiązywał, że środkowy Wschód zdolny jest wyprodukować od 0,5 do 1,0 miliona ton pszenicy w sezonie wegetacyjnym. Środkowy Wschód według uczonego amerykańskiego posiada co najmniej 1 milion ha ziemi, nadający się do produkcji pszenicy. Ziemia ta obecnie leży odłogiem.

Łączy się to oczywiście z możliwościami dużego zwiększenia gęstości zaludnienia na M.E. O tym ostatnim zagadnieniu mówił E. Neumann, dyrektor Sjonistycznego Komitetu Pomocy w Nowym Yorku. Według tego, zainteresowanego w imigracyjnych możliwościach M.E. przedstawiciela opinii amerykańsko-żydowskiej, środkowy Wschód może zmieścić 100.000.000 ludności, podczas gdy obecnie zamieszkuje tu zaledwie 20 (?) milionów. (Palestine Post, 7.1.43).

Obaj eksperci wraz z bejruckim korespondentem jerozolimskiego dziennika rozmaito pojmują zasięg środkowego Wschodu. Według klasycznego podziału, Persja, Turkiestan Rosyjski i Chiński, Afganistan, Tybet i kraje sąsiadujące — to Wschód środkowy. Do pojęcia Bliskiego Wschodu należą obszary dawnego Imperium Otomańskiego, a więc głównie Mała Azja i Lewant z przyległościami. Istnieje jednak określenie świata azjatycko-arabskiego jako środkowego Wschodu. Najnowsza i najpopularniejsza mapa środkowego Wschodu wydana w Angli przez słynną firmę kartograficzną I. Bartholomew i Syn pod ogólnym tytułem środkowego Wschodu (M.E.) obejmuje Irak, Palestynę, Syrię, Turcję i Arabistan. Najnowsza edycja tej mapy posiada jednak zbiorowy tytuł: Middle and Near East. Jak widzimy, pojęcia Bliskiego i środkowego Wschodu nie należą do wyraźnie rozgraniczonych.

W najbliższych numerach pisma ukazać się m. in. następujące artykuły:
X F. M. ABEL O.P.: Wybrzeża palestyńskie w toku dzieł.

Stanisław BALINSKI: Przestrzeń życiowa.
X Pierre BENOIT O. P.: Papiirus i biblia.
Zbigniew BRONCIEL: Od hylin do Stalingradu.
Jan St. CHYŻOWSKI: Plan Beveridge’a.
Józef CZAPSKI: Urywki z dziennika.

Roman FAJANS: Dziennikarze o wojnie.

Roman FAJANS: Problem Japonii.

Prof. Kazimierz GRZYBOWSKI: Propaganda dla wszystkich.

Antoni KOTUZYŃSKI: Dojrzały owoc.

Bohdan ŁACZKOWSKI: O propagandzie.

Bohdan ŁACZKOWSKI: Frusy Wschodnie.

Hermiła NAGLEROWA: Polska a Niemcy.

W. NALCZ: Wpływ Wschodu w Polsce.

Adam ORDEGA: Wydawnictwa polskie na Węgrzech.

Maria PETRY: Seraficki posta Czech powojennych.

A. RIVET: Wspomnienia.

Tyofil SZANFARY: Ex Oriente lux.

Tymon TERECKI: Polska i Francja.

Melchior WAŃKOWICZ: Kawaler z siarki.

Melchior WAŃKOWICZ: Wilno — perla korony polskiej.

Stanisław BALIŃSKIEGO, Ludwik BIESAŁOWSKI, Romana BRANDSTAEDTERA, Zbigniewa BRONCIELA, Władysława BRONIEWSKIEGO, Jadwigi CZECHOWICZÓWNY, Marii PETRY, Tadeusza SOWICKIEGO, Jirzego WOLKERA (w przekładzie Marii PETRY).

Przegląd polityczny

Ubiegłej niedzieli Churchill przemawiał w Londynie, Hitler — w Berlinie. Po trzech bezmała latach przerwy mieliśmy znowu nawrót do tematu bardzo popularnego w oficjalnych enuncjacjach pierwszych miesięcy tej wojny: do tematu konkretnego terminu zwycięskiego jej końca. Tylko że dzisiaj na temat ten mówił nie Hitler, ale premier brytyjski.

Role — jak widzimy — odwróciły się. W pierwszych latach wojny Churchill w obliczu coraz to nowych klęsk pocieszał obywateli brytyjskich, że potencjał wojenny Imperium Brytyjskiego wzrasta, że coraz większa ilość żołnierzy brytyjskich jest pod bronią, że coraz więcej produkuje się sprzętu wojennego. Hitler w ostatniej mowie sporo czasu poświęcił reklamie nowej, „totalnej” mobilizacji, jaką Rzesza tylko co zakończyła. Mówił obszernie o nowych setkach tysięcy żołnierzy, jakie mobilizacja ta da frontowi, o zwiększeniu wskaźników produkcji przemysłu wojennego, jakie przyniesie za sobą. Wyglądało to tak, jakby w r. 1939 nie uzbrojone po zęby Niemcy zaatakowały nieprzygotowany do wojny świat, ale jakby — naodwrot — bezbronna Rzesza została zaatakowana i dopiero teraz, w czwartym roku wojny, zdołała „totalnie” zmobilizować swoje rezerwy ludzkie i przemysłowe.

Mowa premiera brytyjskiego była pod pewnymi względami niespodzianką. Jeszcze przed rokiem Churchill występował przeciwko tym politykom, którzy żądali planowania nowego ustroju świata już teraz, w czasie wojny. Mówił, że najpierw należy wojnę wygrać, a potem dopiero będzie czas na reformy społeczne. A tymczasem ubiegłej niedzieli podpisał imieniem rządu bardzo poważny weksel na reformy społeczne: zapowiedział nie tylko zabezpieczenie przez państwo wszystkich obywateli przed nędzą, ale i daleko idącą ingerencję państwa w życie gospodarcze, planowanie gospodarcze, zwiększenie podatków. Mówił o zwalczaniu przez państwo bezrobocia, przyczem w związku z tym w mowie jego pojawiły się wcale niezwykle kategorie bezrobotnych: „stara arystokracja i współczesna plutokracja”.

Rzecz ciekawa, tutaj właśnie w mowie Hitlera znalazły się pewne analogiczne akcenty. Zapewniał on, że hitlerowcy będą nadal wprowadzali w życie swój program społeczny „tak długo, aż różnice klasowe zostaną usunięte”. Oczywiście, hasło sprawiedliwości społecznej ma zupełnie inną konkretną treść w Niemczech, inną w Anglii, a inną np. — wszyscy to najlepiej z własnego doświadczenia znamy — w praktyce życia w ZSRR. Jest jednak rzeczą wysoce zmienną, że głód sprawiedliwości społecznej jest dzisiaj w świecie tak silny, że każdy realny polityk, bez względu na to, po której stronie frontu i barier ideologicznych się znajduje, musi głosić program zaspokojenia go.

Mowa Churchilla przynosiła także wypowiedzi na temat organizacji politycznej powojennej Europy. Mówiła o wielkich mocarstwach, na których organizacja ta się opiera. Dzieliła świat na dwie kategorie: państw wyposażonych w pełnię sił i praw, oraz innych — które będą się mogły w ich cieniu rozwijać. Rzecz prosta, o tym, które państwa będą należały do pierwszej, a które — do drugiej kategorii, zdecydować ma układ sił w chwili końca wojny, a do tego czasu — 1944?, 1945? — wiele jeszcze wody w rzekach i wiele jeszcze krwi upłynie. Bardzo ważna jest tu jednak zasadnicza tendencja: odwrót od zasady równouprawnienia wszystkich państw, która przyswieszczała twórcom Traktatu Wersalskiego, a myślenie kategoriami wielkich bloków politycznych i gospodarczych, nawrót do systemu „koncertu” mocarstw, tak jak to było w okresie Kongresu Wiedeńskiego. Dla nas wynika stąd jeden wniosek: jeśli chcemy na przyszłej konferencji pokojowej wystąpić jako równouprawniony, czynny partner, musimy już dzisiaj przygotować warunki dla stworzenia w Europie środkowej federacji na tyle silnej, aby głos jej na tej konferencji mógł być usłyszany i miał swoją wagę.

Ostatnie sukcesy niemieckie na południowym odcinku frontu rosyjskiego pokazują najoczywściej, jak mało było podstaw dla tej gwałtownej propagandy pod hasłem „ojczyzna w niebezpieczeństwie”, jaką Niemcy rozwinieli z okazji zimowych zwycięstw rosyjskich. Zresztą i wtedy było rzeczą jasną, że od walk pod Rostowem, Charkowem i Kurskiem do bezpośredniego zagrożenia Niemiec droga była jeszcze arcydługa.

Bo też Niemcy wszczęli tę kampanię przede wszystkim ze względów wewnętrzno-politycznych. Miała ona być dopingiem pobudzającym naród niemiecki do jeszcze szataczniejszego skurczu wysiłku. Dla nas jest ona zmienną jednak z innego powodu. Oto jeżeli hitlerowcy zdobyli się na tak niebezpieczne posunięcie, nie przyszedłoby do tego przez sytuację zewnętrzną, to znaczy że są pewni nastrojów niemieckich i swojej władzy nad narodem. Mit o „dobrych Niemcach” doznał tu jeszcze jednego ciosu. Gdyby było tak, jak chcą wyznawcy tego mitu, t. j. gdyby naprawdę kilka hitlerowska rządząca narodem, któremu hitlerizm jest obcy, to klika ta nigdy nie zdobyłaby się na podobne posunięcie. Oznaczałoby ono bowiem koniec jej władzy. Tylko ludzie pewni tego, że ogromna większość narodu jest z nimi solidarna, mogą się zdobyć na granie na nastrojach klęski.

I dlatego mimo że szala zwycięstw przechyliła się już bardzo wyraźnie na stronę aliantów, ostateczne pokonanie Niemiec nie jest wcale jeszcze rzeczą łatwą i wcale jeszcze nie musi przyjąć tak szybko, jak to sobie niepoprawni wyznawcy „wishful thinking” wyobrażają.

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezalel Street, House Valero.

W następnym (2) numerze zamieścimy „Wiersze jerozolimskie”

WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO

Wydawca: Ignacy Pokrywa

Redaktor: St. A. Baliński

Drukarnia: The Jerusalem Press

Jerusalem, Hassolel St. 9. Tel. 2898